Numer podwójny — cena 50 gr.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

PRAKTYCZNA PANI

№ 43 i 44

DOBRA OBYWATELKA

TYGODNIK ILUSTROWANY

50 GROSZY

rok I.

21 i 28 grudnia

NUMER TEN ZAWIERA **40** STRON TEKSTU Z RYCINAMI I KOLOROWEMI MODELAMI SUKIEN ORAZ OSOBNY ARKUSZ Z TABLICĄ KROJÓW I WZORAMI ROBÓT

TREŚĆ:



Prenumerata miesięczna **1 złoty**

POCZYTAJ MI MAMUSIU



CO MÓWI ŚW. MIKOŁAJ

Witajcie kochane dzieciaki! Jak się macie? Widzę, że twarze uśmiechnięte i oczy błyszczą radością! Jakżeby? Tak przecież niecierpliwie oczekiwaliście nadejścia Św. Mikołaja! Nawet ci, co w bajki już nie wierzą, nie mogli oprzeć się wzruszeniu na myśl o dniu dzisiejszym, prawda? O, i ja bardzo kocham grzeczne dzieci! Proszę mi spojrzeć w oczy! Jeżeli komu jaki czyn brzydki wyrzuca sumienie — lenistwo, kłamstwo, lub broń Boże — cudzą krzywdę — niech ma odwagę przyznać się do winy i wynagrodzi błąd podwójnem staraniem. Na dnie każdego serduszka leżą skarby dobrych uczuć. Trzeba dziś sięgnąć po nie, trzeba rozdmuchać iskierki w płomień takiej miłości, aby Dziecię Jezus mogło uśmiechnąć się do nas i pobłogosławić...

Św. Mikołaj pragnie, abyście byli dobrzy i szczęśliwi. Przyszedłem, jak co roku, w cudowny wigilijny wieczór. Niosę wam radość i spełnienie marzeń.

Spoglądacie ciekawie na mój worek. Oj, ciężki! Nadźwigałem się porządnie!

Tyle, tyle waszych życzeń leciało w moją stronę! Moc listów i westchnień serdecznych. Aniołkowie już dawno zbierali je i zapisywali w złotą księgę. Przeczytam choć jedną stronę:

O lalkę Jadzia prosi, książeczka dla Małgosi. Dla Zochy — ciepłe pończochy. Dla Hanki — sanki. Dla Kazimierza — mundur harcerza. Halinka — chce czekoladowego Murzynka, Tereska — pluszowego pieska, Józek — wózek, Janeczek — choinkę i moc świeczek, Jerzyk — żołnierzy, Staś — konia dużego... — Olaboga, co tu tego!

Pracowałem, kleiłem, starałem się, jak mogłem, żeby wszystkie zabawki przygotować, ale nie dam rady!.. Nie sposób do każdego kąta dotrzeć i każdą prośbę zapamiętać... A może jaki list zginął w drodze?... Bardzo byłoby przykro, gdyby niektóre grzeczne dzieci zostały pominięte...

Pomóżcie mi, moi mili! Przecież dobre serca macie! Pomyślcie, jak to smutno na próżno oczekiwać... Czy moglibyście się cieszyć, wiedząc, że inni płaczą?... Niech każdy, komu los nie poskąpił odrobiny radości, chociaż jednego rówieśnika pocieszy w niedoli. Czem kto może, podzielmy się z malutkim Jezuskiem!

On dziś w osobie ubogich dzieci wyciąga do was rączki.

Coście Mu ofiarowali? Jeszcze nie jest zapóźno! Pamiętajcie!

Al. Kw.

DOBRE SERCE

Janek ma 7 lat, a jego brat Loluś — 4. Janek nie lubi Lolusia. Wszyscy się Lolusiem zachwycają i przynoszą mu jabłka i cukierki, a jemu, Jankowi nic. Wprawdzie Loluś zawsze się z nim dzieli, ale to już mniej smakuje. Tembardziej, że zaraz wszyscy chwalą: „Jaki Lolo dobry. Jak się grzecznie dzieli z braciszkiem".

Janek rzadko coś dobrego usłyszy. Najczęściej mówią mu: Jesteś niegrzeczny, uparty, niedobry, Loluś młodszy od ciebie, a o wiele lepszy". Janek jest wtedy zły i dokucza bratu, jak nikt nie widzi.

Raz mama poszła z chłopcami na spacer. Było zimno i obydwu pomarzły noski. Lolo szedł naprzód i uśmiechał się do ludzi i wszyscy oglądali się i mówili: „Jakie miłe dziecko". A Janek szedł stylu, zły i nadęty i chował nos w kołnierz.

Wszyscy troje zatrzymali się w pewnej chwili na rogu ulicy kolo figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. I nagle Loluś zawołał: „Mamo, Jezusek jest tylko w koszulce. Jemu zimno. Ja mu dam kapotkę".

„Jaki ten Lolo głupi — prychnął Janek — co Mu twoja kapotka pomoże". Ale mama ujęła się za Lolusiem. Lolo nie jest taki głupi. Jest mały, więc nie wie, że ten Jezusek jest z marmuru i że nie czuje zimna. Ale widać, że ma dobre serce. A wiesz przecież, że prawdziwy Jezusek w zimie w stajence się urodził i nie miał się czem okryć. Jakby Go Lolo wtedy spotkał, toby mu nie dał zmarznąć.

Mama długo jeszcze tłumaczyła, ale Janek tylko to najlepiej zrozumiał, że Lolo ma dobre serce. I przyznał mamie rację. Pomyślał sobie zaraz, że on też chce mieć dobre serce. Jak wrócili do domu, to zaraz dał Lolusiowi swój najładniejszy obrazek. Lolo się ucieszył ogromnie, a mamusia jak to zobaczyła — uśmiechnęła się do Janka. I Jankowi zrobiło się bardzo miło.

Poszedł do kuchni i pomógł babci obierać ziemniaki. Babcia pogłaskała go po głowie i powiedziała: „Co to się stało, że nasz Janek dziś taki grzeczny. I nie bije się z Lolkiem i wszystkim pomaga". „Bo ja chcę mieć dobre serce" odparł Janek i zaczerwienił się. „Dobrze, synku, dobrze", szepnęła babcia i przytuliła wnuka.

Bardzo mu było przyjemnie i postanowił sobie zawsze dobrze robić i wszystkim pomagać.

H. W.

MAMA MIAŁA RACJĘ

Krysia dostała niedawno śliczną, prawdziwą kuchenkę. Kuchenka była z blachy, pomalowana na biało, miała malusieńkie fajerki i drzwiczki. Drzwiczki można było otwierać i zamykać i Krysia nacieszyć się nie mogła zabawką.

W kilka dni potem, będąc na spacerze z mamusią, zobaczyła na wystawie, w sklepie z zabawkami, komplet maleńkich rondelków, patelni i miseczek. Oniemiała z zachwytu i tak długo prosiła i płakała aż jej mamusia to cudo kupiła.

Zaraz po powrocie do domu wzięła się do gotowania. Ponalewała wody w rondelki, włożyła w jeden kawałeczek marchewki, w drugi kilka ziarenek grochu i postawiła na kuchence. Cieszyła się jak to będzie ładnie, kiedy do obiadu przyniesie tatusiowi ugotowane przez siebie potrawy. Napewno będzie ogromnie zadowolony, weźmie Krysię na kolana i powie: „Patrzcie państwo jaka to z mojej córki gospodyni".

Poszła więc Krysia do mamy i prosi o zapałki, bo chce w swojej kuchni ogień rozpalić i gotować. Ale mama zdziwiła się. Jakto? Chcesz zepsuć kuchenkę? Ona od ognia zaraz się popsuje. Ona jest tylko do zabawy i palić w niej nie można. Zresztą mogłabyś się poparzyć od ognia. Nie. Nie dam ci zapałek. Baw się grzecznie. Będziesz jeszcze nieraz gotować, ale jak dorośniesz.

Krysia posmutniała. Tak sobie wszystko ładnie obmyśliła, że na zupę będzie grochówka, bo tatuś ją bardzo lubi, a na drugie danie marchewka. I nic z tego.

Mamusia wyszła do drugiego pokoju i zamknęła drzwi, a Krysia oparła się o krzesło i myśli.

Buntuje się, że jej wszystko obiecują, jak będzie duża, a teraz nic nie wolno. Wzrok pada na pudełko zapałek i Krysia postanawia nagle: „Nie usłucham mamusi. Ugotuję obiad na ogniu i już. Zobaczy mamusia, że się kuchenka nie zepsuje.

Szybko postawiła kuchenkę na stole, przez otwarte drzwiczki i przez fajerkę nakłada do środka trochę papierków i kawałeczków drzazgi i... podpaliła:

Powstawiała swoje rondelki i patrzy. Słaby płomyk wolniutko ogarnia papierek po papierku, doszedł do drzazgi. I nagle wszystkiemi szczelinami kuchenki zaczął się wydobywać bury dym. To tylko w pierwszej chwili — myśli Krysia. Ale dym idzie coraz gęściej. Zaczyna dmuchać na dym. Rozwiewa się trochę, ale zato coś zaczyna skwierczeć i brzydko pachnie. To farba olejna, którą kuchenka była pomalowana, przypala się, kurczy i odpryskuje.

Aż mamusia w drugim pokoju coś poczuła i zagląda, co to się tu dzieje. A Krysia zlękła się i pochyliła się nad kuchenką, żeby sobą zasłonić. Nie spostrzegła, że jeden loczek opadł za nisko i nagle połowa włosów zatliła się. Całe szczęście, że było to już w oczach mamusi i że mamusia zaraz płomień ugasiła.

Oj! co to potem było...

Krysia wstydziła się, że ma w połowie opalone włosy, i bolało ją oparzone uszko, a więcej jeszcze bolało ją, że mamusia się gniewa. A kuchenka się rozkleiła od ognia i rondelki porobiły się czarne od dymu. Wypalił się kawałek serwety i na stole na politurze zrobiła się brzydka duża plama.

A wieczorem, kiedy Krysia szła spać, nikt jej nie pocałował na dobranoc, bo tatuś też się na nią pogniewał.

Przykro było Krysi ogromnie. Długo, długo płakała w łóżeczku i obiecywała sobie, że zawsze będzie słuchać mamusi. Bo mamusia miała rację.

H. W.

WESOŁA KOLĘDA

W tę noc betleemską, w tę noc Narodzenia,
radują się ludzie i wszystkie stworzenia.
Sosen tłum
niesie szum
— hej, kolęda, kolęda!

Wiewiórka po drzewach wyskakuje wkoło
z gałęzi na gałąź wesoło, wesoło!
Tam i tu,
aż brak tchu!
Hej kolęda, kolęda!

I lisek radośnie rudą kitą macha! —
— W tę noc i o wilka nawet niema strachu:
Każdy rad,
każdy brat —
— hej, kolęda, kolęda!

Przecwałował zając,
przez góry i dołki
i z wielkiej uciechy,
wywraca koziołki.
Fik, mik, brzdęk,
przepadł lęk.
Hej, kolęda, kolęda!

Nawet stary niedźwiedź,
bierze się pod boki,
zaczyna pocieszne,
też wyprawiać skoki.
Hopsasa wśród lasa!
Hej, kolęda, kolęda!

„W tę noc betleemską, w tę noc Narodzenia
radują się zgodnie wszyściutkie stworzenia.
W mroźną noc,
cudów moc,
Hej, kolęda, kolęda!

DLA NAJMŁODSZYCH

Co się stało? Dziw nad dziwy!
nagle pośród gwaru miasta,
na placyku las prawdziwy,
niby w bajce nam wyrasta:
Wtedy wiemy, że już święta,
i wesołe mamy minki:
Niezadługo znów oczęta
uśmiechną się do...

Alina Kwiecińska.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ W WĘDRÓWCE PO ŚWIECIE.

Już wczesnym rankiem budzą się dzieci, zaglądając pod poduszki i do wystawionych przed drzwi trzewiczków, aby sprawdzić, co im św. Mikołaj tym razem przyniósł. Ale tylko grzeczne dzieci mają nadzieje na piękne upominki.





Wszystkim naszyn Prenumeratorkom i Czytelniczkom zasyłamy z okazji Świąt Bożego Narodzenia najserdeczniejsze życzenia

OD REDAKCJI

Większość naszych Prenumeratorek i Czytelniczek, korzystających z wolniejszego czasu w okresie świątecznym, z zadowoleniem prawdopodobnie powita fakt, że zamiast numeru przed- i po- świątecznego, wydajemy na Święta jeden numer podwójny, który, mamy nadzieję, dostarczy im miłej lektury w czasie godzin wypoczynku. Numer zatem 43/44 będzie równocześnie ostatnim numerem naszego tygodnika na rok bieżący.

Jest to dla nas chwila niezmiernie ważna, chwila zakończenia pierwszego roku istnienia młodego pisma, pierwszego, zawsze najcięższgo roku.

Cośmy w nim dali? i cośmy wzamian otrzymali? Daliśmy zapewne rzecz niedoskonałą, jak niedoskonałem jest każde, najlepsze nawet dzieło ludzkie, daliśmy to jednak ożywieni prawdziwie dobremi chęciami, nie szczędząc pracy i wysiłku a także wiedzy i serca. Jeżeli pierwsze kroki były niepewne, dziś już otworzyła się przed nami droga wytknięta jasno, droga pełna trudu ale wiodąca prosto do serc ludzkich.

Źle jest, jeżeli pismo tworzy się jedynie jako wola jednostki. Pismo, które pragnie społeczeństwu służyć, musi się do tych, komu służyć zamierza, zbliżyć, musi ich poznać, musi się od nich dowiedzieć jak i czem można im służyć. Pismo rzuca w świat wydawca, powierzając rękom redaktora, ale dalsze jego losy zależą nietylko od woli twórców, ale w znacznej mierze od tego czy myśli i uczucia wyrażone w tygodniku przenikną do duszy i serca czytelnika i czy bić będą wspólnym, zgodnym rytmem.

Dalecy jesteśmy od tego, żebyśmy po roku niespełna istnienia uznali, że cel został osiągnięty. Dla twórczej pracy, dla gorącego serca, nigdy niema kresu wysiłku, zdobyliśmy jedno, pragniemy zdobyć więcej, udało nam się zjednać przyjaciół, pragniemy tę przyjaźń uczynić mocną i dozgonną a wsparci życzliwością i zaufaniem, której dowody otrzymujemy codziennie, nie będziemy szczędzić trudów, aby nasz tygodnik stał się wiernym towarzyszem każdej kobiety Polki i niezbędnym w każdym domu.

Z radością i dumą możemy powiedzieć, że już pierwsze kroki dały nam wielu przyjaciół, że pierwszy rok naszego istnienia stanowi potężną zachętę do dalszej pracy i troski o rozwój i za ten bodziec, za tę życzliwość i zaufanie, najgoręcej dziękujemy.



WŚRÓD NOCNEJ CISZY

Dawno, bardzo dawno temu, — w Judzkiej krainie, zdala od miasta uśpionego, nad ubogą stajenką, ukrytą w skale, — zabłysła nagle jakaś dziwna jasność; gwiazdy roziskrzone zbladły przedwcześnie, — wśród ciszy nocy na Wschodzie, bogatej w wymowne milczenie głębin skalistych, — w tajemnicze szepty uśpionej natury. Słychać gdzieś było, chrzęst skrzydeł szarego świerszcza, w kielichu drzemiącego kwiatu, to znów w oddali urywany krzyk drapieżnego ptaka, polującego na zdobycz wśród kiści palm wysmukłych, — głucho zadźwięczał dzwonek, owiec na pastwisku. A wśród tych odgłosów ziemi płynął w przestworzu jakby oddech wszechświata, wibrujący pod niewidzialną dłonią, w tej wielkiej chwili bijącej na zegarze wieków... Na ciemnym szafirze niebios mgławice splatały się w półkola, a z wieńca ich blasków, na promieniach gwiazd, spływały hufce białych duchów skrzydlatych, które zawisły nad grotą. Blask ich zbudził pasterzy, którzy zerwali się ze snu przerażeni, a oto głosy anielskie ogłosiły im wielką nowinę: Zbawiciel świata narodził się w tej chwili, — wszystko co ciemne, co grzeszne i nieszczęsne ustępuje dziś przed światłem, które wschodzi nad ziemią. „Idźcie do Betlejem, znajdziecie tam Dzieciątko w żłobku, owinięte w pieluszki..." — I poszli pasterze—i znaleźli. W bydlęcym żłobie, na sianie leżało Dziecię-Bóg, a z rączek malutkiego Pana wszechświata, wyciągniętych do błogosławieństwa, spływały łaski, jak iskry djamentowe, zapalając wszystkie serca, co się do Niego zbliżały. Przed Nim klęczała Niepokalana Dziewica, w królewskim płaszczu Boskiego Macierzyństwa, a obok Niej, Józef św., któremu lilija czystości nadała godność Opiekuna Dziecięcia i Matki. Uklękli pasterze a chór anielski zaśpiewał „Gloria in Excelsis!..."

Nad dzisiejszym światem, tak jak przed laty, błyszczy na niebie Gwiazdka Betlejemska, — ludzie, jak niegdyś pasterze, śpieszą na Pasterkę powitać Króla, który w opałowych osłonkach białej Hostji spłynie na Ołtarz, by rozjaśnić drogi cierpiącej ludzkości, by napełnić ją siłą do lotu na wyżyny, by wszystkich utulić, wszystkich obdarzyć, wszystkim błogosławić. A serca ludzkie, jak tajemnicze kwiaty wschodu, otworzą się na przyjęcie Boskiego Dziecięcia, i wchłoną w siebie ożywczą rosę pociech niebiańskich, moc do walki, życia i nadzieję w lepszą przyszłość.

E. P.

SWIĘTO BOŻEGO NARODZENIA

W ŚWIETLE NAUKI KOŚCIOŁA

W dniu 25 grudnia Kościół rokrocznie święci jedną z największych tajemnic naszej wiary, pamiątkę Narodzenia Jezusa Chrystusa, Odkupiciela świata. W dawnych czasach uroczystość tę obchodzono nietylko przez całą oktawę, — ale aż do święta Trzech Króli. — pamiątka tego zwyczaju została w modłach kościelnych i w pacierzach kapłańskich, — w tym okresie odmawianych. W dniu Bożego Narodzenia każdy kapłan katolicki odprawia 3 Msze Święte, aby uczcić trojakie rodzenie się Chrystusa. 1) z Boga Ojca przed wieki, 2) z Najświętszej Maryi Panny w czasie, i 3) Duchowo, w sercach wiernych. Zwyczaj ten powstał podczas prześladowania, kiedy kapłani, przechodząc potajemnie z jednego miejsca na drugie, z konieczności musieli w różnych porach, a najczęściej w nocy, odprawiać po kilka Mszy Świętych w dnie uroczyste. Liczba Mszy Św. nie była wtedy określona, dopiero papież Aleksander II dozwolił kapłanom odprawiać po 3 Msze Św. i tylko w dzień Bożego Narodzenia (Papież Benedykt V z powodu wielkiej ilości ludzi, którzy zginęli na wojnie, pozwolił kapłanom odprawiać po 3 Msze Święte również w Dzień Zaduszny).

Pierwsza Msza Święta, zwana Pasterką, odprawiana zwykle o północy wysławia Narodzenie Zbawiciela na ziemi, Kościół ją nazywa „Tajemnicą światła". Druga Msza Święta, zwana Mszą jutrzenki opiewa wschód Światła Boskiego. Ukazuje się ono najpierw ubogim i maluczkim w osobach pasterzy, którzy pierwsi otrzymali Pokój obiecany ludziom dobrej woli; śpiewając wówczas w świątyni „Światło nam dziś zabłyśnie".

Trzecia Msza Święta, zwana królewską, którą odprawia się już w dzień, wyraża triumf Zbawiciela, siedzącego na prawicy Ojca w niebie i obejmującego chwałą swoją cały wszechświat. Z tych 3 Mszy Św. tylko pierwsza Pasterka bezpośrednio odnawia tajemnicę Nar. Pańskiego, według Św. Maxima, jest Ono zarazem tajemnicą narodzin duszy naszej do życia nadprzyrodzonego; dwie następne a zwłaszcza trzecia Msza Św. manifestuje powstanie i panowanie Chrystusa w Eucharystji, po wszystkie wieki.

Nasze wdzięczne kolędy, pastorałki i pieśni polskie, śpiewane w świątyniach, wielce ożywiają nabożeństwo. Dzień poprzedzający Boże Nar. Kościół przeznacza na przygotowanie się przez post i inne duchowe ćwiczenia. Pierwsi chrześcijanie sprawiali sobie wspólną ucztę w kościołach, zwaną „Agape" od greckiego słowa „miłość". Ponieważ jednak sczasem wcisnęły się do tych uczt nadużycia w jadle i piciu, Kościół zabronił ich w domach Bożych.

Pamiątką tego zwyczaju, jest nasza polska tradycyjna Wigilja, podczas której cała rodzina zwykle skupia się przy wspólnym stole i dzieli Opłatkiem. Dzielenie to jest symbolem zjednoczenia wszystkich w miłości, we wspólnem radowaniu się z Tej tajemnicy wiary, w wspólnej modlitwie i braterstwie dusz, narodów i rodzin.

E. G. P.

L E G E N D A

Zlecieli się aniołowie do stajenki w Betleem. Stali wokoł żłobka, i u drwi, i pod ścianami i pod strzechę wstatywali, byle na dzieciątko patrzeć. A jeden malutki aniołek na dach sfrunął, małą szparkę w strzesze znalazł i stamtąd przez nią na Pana Jezusa patrzał.

A patrzał tak pilnie, że się już głęboka noc zrobiła i pasterze odeszli, a Dziecina zmęczona sennie poziewać zaczęła. Więc się i aniołowie do nieba szykowali. Odsunął nasz aniołek buzię od szpary ze swoimi chce lecieć, a tu słyszy ze stajenki głos Matki Bożej:

— „Wieje tu gdzieś na Dzieciątko, pewno tach dziurawy".

Zafrasował się anołek, prędko rączkami szparę zatulił i znów słyszy:

— „O już nie wieje! — Trzeba po dniu obejrzeć, bo się jeszcze Dzieciątko zaziębi.

Co tu robić? — Do nieba czas wracać, a rąk od szpary odjąć nie można. Widzi aniołek, odchodzą jego towarzysze, prosto w jasność miesiąca płyną, smutno mu się zrobiło ale nic! — trzyma rączki na szczelince i czeka ranka. Ale że zimowa noc długa, a rączyny miał słabe, ścierpły mu i ziębły aż strach. Odjął je na chwilę — ot, rozetrzeć choć trochę, a tu słyszy:

— „Oj wieje, wieje! — Czemże ja Cię, Synaczku otulę. Skoczył aniołek po rozum do głowy i nie myśląc wiele prędko na szczelince usiadł. Usiadł i siedzi rad ze swego pomysłu. Rączkami bródkę podparł, kolanka stulił, siedzi, siedzi, aż usnął. Szaro już było, kiedy przed stajenkę Święty Józef wyszedł. Przypomniał sobie, co mu wczoraj Marja Panna mówiła, począł stajenkę wokoło obchodzić i na dach patrzeć.

Patrzy, a na dachu coś siedzi malutkie jak kulka. Przygląda się: — aniołek.

— „A ty co tu robisz? — Czemuś do nieba nie wrócił? — Rozbudził się aniołek i mówi:

— „Szczelinkę zakrywam, bo przez nią na Dzieciątko wiatr leci".

I opowiedział jak i co.

Przyniósł Święty Józef drabinę i pęk siana, wszedł, szczelinę zatkał; patrzy na aniołka, a ten cały dygoce z zimna.

Zlitowało się serce świętego nad tem biedactwem, rozchylił kapotę na piersi i mówi:

— „Właź tu niebożę, ogrzej się".

Wlazł aniołek, wtulił się pod kapotę, ledwie koniec nosa n świat wystawił. Dobrze mu, ciepło. Chodzi Święty Józef wokół stajenki, aniołka otula, wreszcie pyta:

— „Ciepło ci?

— „Ciepło".

— „To czemu się trzęsiesz?"

— „Boję się! Do nieb wracać muszę, a droga daleka. Malutki jestem, może nie trafię, między gwiazdami zabłądzę".

— „Poczekaj, zaraz słońce wzejdzie".

A na widnokręgu różowiło się niebo, rozjaśniało coraz bardziej, aż wytoczyła się wielka czerwona kula słońca. Złote promienie strzeliły od nieba ku ziemi.

— „Leć teraz!" — rozchylił Święty Józef kapoty. Sfrunął aniołek na jeden taki promień, strzepnął skrzydełkami i prosto, prościutko do nieba poleciał.

Bogurwola

WAM KTÓRZY JESTEŚCIE SAMI..

Wam, którzy w wieczór wigilji
Będziecie sami w domu albo na ulicy,
Wam chcę przynieść gwiazdkę, bracia mili,
Na którą nikt z was nie liczy.

Nie mam nic pięknego, wielkiego,
Nic, o czemby mówić warto,
Tylko tę ludzką mowę
I papieru białego kartę.

A tak pragnę, aby każde zdanie,
Każda linja, gałązką się stała
I od łez tych, które mam w sercu
Jak choinka dla was zajaśniała.

Żeby w moich skromnych, cichych słowach
Zachrzęściło łamanie opłatka,
Życzę wam... życzę... mój Boże...
Jakby życzyć wam mogła... matka.

A. D.

BIAŁY ANTOŚ

Dziewuchy nazywały go „Biały Antoś", bo twarz miał niegorzałą, choć pospołu z ojcem przy torfie pracował, a włosy światłe i oczy takie blade i jasne, jak czasem niebo bywa, albo spełzła niezabudka. Lubiły go dziewuchy, ale jeszcze nie kochała żadna, bo choć dziewiętnaście lat już skończył, dzieciakiem wciąż im się widział, i jak którą w ręce chwycił, to się nawet nie broniła, bo wiedziała, że sam wypuści. Nie było w nim jeszcze tej śmiałości, od której dziewuchom łydki się trzęsą i co rusz to się czegoś jeszcze zawstydził, czegoś zasmucił i odchodził zaraz daleko, a jak sam został, to wyśpiewywał. Wtedy to przychodziło mu do głowy, że to może samemu najlepiej, chyba że drugie serce znajdzie podobne swojemu i razem wtedy szanować się będą. I zaraz pokojówka ze dworu, Marysia, na oczach mu stawała. Ani jej serce nie było jego sercu podobne, ani w mowie była obyczajna, w żartach często bolesna, ale liczka jej i postać cała były takie delikatniuchne, fartuszek taki bielu[...]ki i tak się ładnie nosiła po dworskich sieniach, aż chwaściały na niej nakrochmalone spódniczki... I ząbki miała drobniutkie, równe jak wybierane perełki. I myśleć o niej było lubo a spotkać — czasem strasznо, bo cię słóweczkami zasypała jak prosem, a nim odpowiedź w zduszonem gardle znajdziesz, już furknęła dalej, już jej niema i tak prędko nie będzie.

Gdy chłopak przychodził do dworu z rakami, które nałowił w nocy przy pochodni, stawał w kuchni z koszyczkiem i, nie puszczając go z rąk, pozdrawiał gospodynię, nisko jej się czapką kłaniając jak dziedziczce, o pogodzie rozpowiadał, byleby tylko doczekać chwili, kiedy pukną drzwi i wpadnie do kuchni Marysia w białych falbaneczkach, srebrną tacą podzwaniając. I zaraz się zacznie:

„Aha, i biały Antoś przyszedł! Co mi przyniósł? Może prezent?"

Wtedy Antoś uchylał szmatki z koszyka, brał dwoma palcami przez pół największego raka i do Marysi się podsuwał, niby ją strasząc a sam bardziej przestraszony i za mocno jej do ściany nie przypierając. Drzwi tylko zagradzał pilnie, żeby nie uciekła. Piszczała cieniutko, cichutko, żeby na górze nie było słychać, śmiała się, przez stołki skakała, kotom na ogony następując, aż wielki wrzask i rumot czynił się w kuchni i gospodyni sfukała oboje. Wtedy to Antoś prędko raki oddawał, chciałby jeszcze coś mówić i może Marysia jeszcze na coś czekała, ale sam nie wiedział kiedy już był na dworze i smutkiem ogarnięty, jakby nie dojadł jakowych słodkości i zostawił. Wrócić było niesporo, ani odejść i niby nic się nie stało a w sercu było pełno łez, które niósł zatajone, póki na łące w piosenkę się nie przetopiły.

Na łąkach to był jakby inny świat, jego własny. Niby łąki dworskie, i chałupa, w której Antoś mieszkał z ojcem, torfiarzem, i z siostrą Reginą — także dworskie, ale nie zachodził tu nikt pilnować, ani budzić, ani naganiać. Włodarz ani rządca tu nie zajrzał, bo torfiarza rzecz ukopać torf, wysuszyć, zestawić, od kupki dostaje zapłacone, więc poco go pilnować? Sprzedać torfu także nie mógł, bo jedna droga z łąk koło podwórza wiodła a zewsząd grodziły wody i mokradła. W cichości więc chałupa torfiarza stała i zdala, jak gospodarska, tylko dwa razy przez lato podchodziły pod nią sianokosy, podzwoniły kosami, strzekotały osełkami jak pasikoniki i ze śpiewaniem o jakimś tam zachodzie odchodziły, a łąka ostawała niziutka i widna z końca do końca, że i ptak się nie ukrył. Po tej trawie zżętej zapach tylko czas jakiś nad łąką wisiał i cała chałupa była go pełna, póki wiatry nie przewiały, póki go nie wygryzł dym.

Ptak nad wodą inny, niż na polu i zieleinne. Torfiarzowa, matka Antosia, która umarła przeszłej jesieni, to miała taką chorobę, że jej te łąki były niemiłe i te mgły, które się wieczorami na tych łąkach gotowały, i te wody wokoło, to jezioro wielkie, te kanały i doły po torfie, zasnute żabią rzęsą.

Torfiarz ją upominał: „Czego ci się zachciewa kobieto? Czy tu źle! Jak na swojem jesteśmy. Krowy mają tyle trawy, ile zeżrą, jest gdzie świniaka wypędzić, kaczek można nachować, nikt ci po piętach nie depcze, nie postponuje jako innych ordynarjuszy. A tobie źle i źle. Czegobyś chciała? We dworze mieszkać?"

„Tego nie powiadam". Wzdychała torfiarzowa", ale są takie wsie na góreczkach, na suchym piasku i mgły je nieraz kołem obstąpią, ale nie podeidą. Jak ci się taki piasek, albo kamień słońcem nagrzeje, to do samego rana ciepło i ciepło, a tu niech tylko słońce za drugi brzeg — już łąka ochłodła i cała mokra. A mnie zaraz trzęsie, a potem znowu taka gorącość pobiera, że jakbym się w ten dół rzuciła, toby się chyba woda zagotowała".

Tak gadała matka, bo chora była, i nikt jej też wiele nie słuchał, bo każdy miał swoją robotę. Nikt też piasku szukać nie będzie, kiedy tu miejsce dobre i grosz odkładać można na posag dla Reginy, żeby gospodarskiego syna dostała, i na grunt dla Antka.

Umarła matka i żałość była po niej wielka. W ostatni wieczór tak do Antka mówiła:

„Widzi mi się Antoś, że umrę. A ty zostaniesz... To dziwno mi, ale jak Pana Jezusa przyjęłam, to mi niczego nie strach, tylko żebyś po mojej śmierci w jakie łajdactwo się nie wdał".

„Co mam się wdać..." zamruczał Antek.

„Bo to widzisz, synku, na świecie połowa djabelska, połowa — anielska. Ty sobie lepiej tę anielską obierz. Dobrze, Antoś?"

„Dobrze, mamo, dobrze." Odpowiedział zaraz Antoś, bo mu się nietrudne wydało wybierać między sprawami anielskiemi a djabelskiemi. Wiadomo, że anioł do nieba, do szczęśliwości prowadzi — i jakże za nim nie iść?

I jak matka umarła, to do czego się wziął — zaraz myślał: „Djabelskie to, czy anielskie?" I zawsze miał dobre rozeznanie, ale od tego myślenia to się jeszcze cichszy zrobił, więcej niż najcichsza dziewczyna, albo jak śpiący. Nic mu jednak ojciec nie powiadał zato, bo Antek pracował dobrze, lepiej nawet od najmowanych pomocników, którzy gadali i gadali radzi. A robota przy torfie ciężka jest i ciężkie są czarne, mokre cegły, z dna łąki dobywane, póki ich nie przewieją letnie wiatry, póki słońce wody z nich nie wypije.

Nie wiedział tylko Antek, czy Marysia z tej djabelskiej połowy jest, czy z anielskiej. Z tych koroneczek rurkowanych, z tej twarzy i piękności — widziała mu się anielska, ale chłopaki różnie o niej gadały, że to niby z ogrodnikiem... I taka w mowie była czasem przykra i niewstydna, i takie od niej gorąco szło, jak z samego piekła. Nie wiedział... nie wiedział... Prześmiewała go, że taki skromny, że na wieńcowem wódki nie chciał pić i dziewuchom się wyrywał, gdy chciały w krze uprowadzić ze zbytków...

Tego właśnie wyrozumieć nie mógł i błąkał się nieraz wieczorami letniemi po łące, między wysokiemi, czarnemi stozkami torfu, których pięćset ciągnęło się w dwudziestu rzędach, niby jaki las, a miesiąc srebrzył mgłę między temi babami torfowemi i zdawać się mogło, że dusze między niemi się błąkają i brał strach, ale oczu oderwać — nie sposób.

A może to anioły chodzą? myślał Antoś. Ale nie zdawało się, żeby anioły między czarnym torfem chodziły. Prędzej napotkać je było można w pańskim sadzie, gdzie kwiatami pachniało i dróżki były umiecione.

I sam nie wiedzący kiedy — odchodził od torfu, od chałupy, od łąki — ku dworowi, przez parkan rozwalony, a potem przez mokry, pachnący bez — do ciemnego ogrodu. Wypatrywał światełka w kredensie i cienia, który to światło zasłaniał czasami, ale nie śmiał podejść bliżej. I odejść było żal, tyle czekania, tyle tęsknoty na nic zmarnować, więc łamał gałązkę i na dróżce pisał swoje litery Marysi, albo też serce rysował, strzałą przestrzelone, jak to na obrazku jednym widział przywiezionym z Ameryki.

Potem znowu zacierał wszystko, bo strach go nagły zdejmował i uciekał znowu w swoje łąki, między czarne baby torfowe i do zacisznej chałupy, w której wspomnienie matki czepiało się każdego obrazeczka na ścianie. A gdy się tylko do łóżka położył, znów wracało pytanie:

„Marysia anielska jest czy..."

Nie śmiał nawet wymówić w cichości tego drugiego, ale mu matczyne przykazanie spokoju nie dawało. W nocy jawił mu się we śnie ogrodnik, choć byłby wolał o Marysi śnić. Widział go wyraźnie takiego wysokiego, z miejska ubranego i z gębą hardą z czarnemi brwiami nad nosem zrośniętemi. I taka go przez sen złość pobierała, że budził się znagła i aż na łóżku siadał, dziwiąc się temu, co się w sercu jego działo i co było takie niepodobne do niego, takie obce i straszne.

„Czego nie śpisz? Czego się ciskasz?" pytała siostra jego Regina, śpiąca na drugiem łóżku. „Maryśka ci spać po nocy nie daje, ja wiem..."

WIGILJA

Zamknęliśmy się w świecie maleńkim
Wigilijnego stołu,
Siano, opłatek, choinka,
Łzy, wspomnienia, wesołość.

Przypomina chwile przepadłe
Zapach igliwia i świeczek,
Życzymy szczęścia z uśmiechem
A łza nas w oku piecze.

Wczoraj... ach tak, jeszcze wczoraj
Był ten i tamten u stołu...

— — — — —

Skrzy się choinka, drży serce
Śmiech dzieci dźwięczy wesoło.

Józefa Maciejewska.

„Bogać tam Maryśka..." wypierał się Antoś. A potem podstępnie: „Ogrodnik ma się ponoć z nią żenić..."

„Żenić?" parskała Regina. „Już ze sto razy tak się żenił. Co mu po takiej latawicy? Nie ma złamanego grosza, ani nawet pierzyny, ja wiem, pod dworską ' otdrą sypia. Co komu po niej? Wyszczekana jak djabeł, a do roboty mdła, dworskich grymasów przyuczona, na języRach obniesiona... tfu! Śpij, Antoś, śpij."

Lecz Antek nie mógł spać, tylko w okienko patrzał, na jezioro i na dwór, po drugiej stronie zatoki jeziora leżący. Latem trzeba było obchodzić cały brzeg wokoło, ale zimą przebiegłeś lodem do dworu w kilka pacierzy.

Zimą, gdy zamarzło i dworscy ludzie trzcinę wykosili, jezioro leżało jak szkło nagie, tylko wiatr po niem latał i przedmuchiwał z brzegu na brzeg śnieżną kurzawę. Czasem znów lód chrupki był, zmącony i białawy jak cukier, czasem grubo śniegiem założony i przerębłe natrzały tylko w niebo, jak w ciemne oczy. Wtedy to od torfiarzów chodzić było można na wszystkie strony, wszędzie twardo. Czy ziemia rozmokła, czy bagno, czy dziury torfowe — przejść mogłeś gdzie chciałeś. I nosiło też Reginę na tańce i Antka nosić poczynało coraz więcej, bo w chałupie ze starym ojcem nie było co robić, a na świecie adwent już się przecież skończył, pełno weselisk odprawiało się i w gospodarskiej wsi i w folwarcznych murowankach, a wieczorami chodzili kolędnicy, ucieszne Herody z djabłem, ze śmiercią, z królem w papierowej, świecącej koronie.

Przyszedł Antoś wieczorem z Reginą do wujka swego, Banaszaka, co na kolonji mieszkał i wesoło było zawsze u niego w chałupie, bo bieda go nie gryzła, a dzieci miał dużo. Dziś także gwarno było u niego, bo właśnie się chłopaki zeszli i za Herody przebierały. Mieli do dworu iść kolędować, bo państwo to i wódką poczęstowali, i po pół złotego dali na każdego, więc iść było warto, choćby i w taki mróz jak dzisiejszy.

Regina aż w ręce spląskiwała ze śmiechu, bo poznać wcale nie mogła Józefa Banaszaka, co się w śmiertelne szaty zakrył i kosę trzymał w garści, kosę z ostrzem drewnianem, srebrnym papierem oklejonem. Ani anioła nie poznała odrazu, ślicznego Wawrzona, co włosy konopne sobie doprawił i gwiazdę przylepił nad czołem. Nieruchawo stał, bojąc się pobrukać szaty, potargać skrzydła i te konopne pasma na głowie. Herod już się także ustroił w suknie czerwone, jak ta krew niewinna, którą przelał i w koronę złocistą, a twarz namurzył sobie mocno, bo człowiek zły — toć i czarny być musi. Tylko Tomka Orzecha jeszcze brakowało, to djabła miał przedstawiać. Jego oblerzenie dziewuchy już przygotowały i leżały na stołku. Pożyczył je chudy August, który kominy we wsi czyścił: ubranie od sadzy czarne i czapeczkę obcisłą na uszy zaciągoną a zapiętą ściśle pod brodą. Dziewuchy przyrychtowały do niej zmyślnie dwa rogi djabelskie.

Chłopaki złościły się, że Tomka Orzecha nie widać, że zrobi się późno i do dworu ich nie puszczą, aż Regina nagle zakrzyknęła:

„Ady Antoś, ubierz się za djabła i idź z nimi!"

„Racja, racja! No, dalej Antoś, dalej!" nawoływały chłopaki.

„Kiedy ja..."

„No co? Biały Antoś boi się uczernić? Pójdziesz do dworu, dostaniesz pół złotego i wódki".

Antoś milczał.

„I Maryśkę zobaczysz..." ktoś podszepnął do ucha.

„Niech się Wawrzon ze mną na oblezenie zamieni", odparł Antoś. „Za anioła — to pójdę."

„Patrzcie go!" obruszył się Wawrzon. „Ja swoich skrzydeł nie zdejmę, dosyć się z niemi namęczyłem."

Chłopaki niewiele czekający — wnet Antka oblekać zaczęli i dziewuchom kazali odejść na stronę, gdy kominiarzowe portki wkładał. Nie bronił się, ale nie był rad.

Ubranie było obcisłe i chudy się wydał, wysmukły, a gdy jeszcze czapeczkę czarną z rogami zapiął pod brodą, ucieszny był bardzo, bo z tych czarności gęba mu taka jasna wychodziła i takie jasne oczy, że prędko sadzy wzięli z komina i umurzyli go, by więcej na djabła się wydał. Wzdychał, gdy tak go łapami smolili i ciężko było na sercu, że musi jako brzydki djabeł do Marysi iść, ale chciało mu się strasznie, by choćiaż na moment jeszcze popatrzeć na nią przed nocą. Będzie się śmiała z niego, a przytem tak obco i strasznie w tem przebraniu i jak ręką po głowie przesunie, to dreszcz spływa na plecy. Jak to mama powiadała o tej anielskiej świata połowie?

Ale chłopaki już ruszyli do drzwi. Wawrzon lilję białą - złocistą do ręki wziął a Antkowi widły w garść wsadzili i kazali jurniejszym być, śmielszym, ucieszniejszym w podskokach i grzbach, bo takiego zasumowanego djabła, jak biały Antoś, to się i dzieciak nie przerazi.

Mróz był taki tęgi, że dech krzepł, więc polecieli przez wieś galopa, a kto ich w drodze napotkał, to mało się nie zataił od przestrachu, gdy tak śmierć, i djabła, i anioła, i króla w czerwieni ujrzał w tę noc miesięczną, biegnących po trzeszczącym śniegu. A kolędnikom w to graj, by kogo przestraszyć i jakby się tym strachem ludzkim upili. Bieżeli z krzykiem wielkim ku dworowi, drogą między wierzbiskami — staruchami, którym nic nie było dziwno, bo wszystkie były spróchniałe i w każdej djabeł mieszkał.

„Olaboga... aż mnie samemu straszno..." zaśmiał się biały Antoś, a mróz mu łzy wyciskał z błękitnych oczu.

Dopiero gdy w sienie dworskie weszli — to trochę przycichli, bo w sieniach tych głos się niósł jak po kościele i każde butów stuknięcie pukało i dzwoniło echem. Z kuchni szedł na sień żar pachnący i stojący we drzwiach kolędnicy tajali od przodu, a od tyłu, od drzwi na dwór ogromnych, mróz lizał im plecy. Antek oczami za Marysią szukał, uchem jej głos chciał wyłowić z tych wszystkich nieznanych hałasów, co się po dworze głosiły, aż nagle, w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewał, sfrunęła na kolędników ze schodów, taka bielutka i szeleszcząca, różowiuśka jak kwiatek — prosto na djabelską pierś.

Jak nie wrzaśnie: „O Jezu kochany!" A potem w śmiech. A kolędnicy obstąpili ją zaraz, jakby właśnie ostatnia godzina na nią przyszła: śmierć z jednej strony, anioł z drugiej, a djabeł cicho stał i tylko patrzał i nawet rąk nie śmiał wyciągnąć, żeby jej nie umurzyć fartuszka. Przelotnie na niego w śmiechu spojrzała i klasnęła w ręce:

„Antoś! Biały Antoś! Jezus kochany!"

I znowu w śmiech, a te ząbeczki to jej się w półmroku tak lśniły, jak drogocenności jakoweś, i od śmiechu łezka na rzęsce lśniła, i te oczki na pół zmrużone, i te usta wilgotne...

Poczem wróciła na górę, by państwu kolędników zameldować, ale dziedziczka była niezdrowa, a na korytarzach taki ziąb, że nawet pańskim dzieciom wyjść patrzeć nie pozwolono, tylko pieniądze przez Marysię przysłali i wódkę. Wszystko Herodowi oddała, że to najstarszy był, a potem między kolędnikami przecisnęła się do kuchni, a oni zaraz za nią, łapy łakomie wyciągając ku jej obcisłemu staniko-

Przyjacielski upominek

Mam przyjaciela, człowieka zresztą o złotym sercu, który ma tę słabość, że przy każdej okazji sadzi się na aforyzmy. A aforyzmy te zazwyczaj dość są bolesne.

Kiedyś nie oddisałem mu na list. Gdy mnie spotkał i o to zapytał, tłumaczyłem się, jak to jest w zwyczaju: odpisałem, ale poczta nie doręczyła. Spojrzał na mnie zimno i powiedział: tylko nienapisane listy nie dochodzą.

Miałem urlop i zastanawiałem się, czy pojechać do gdyni, czy do Zakopanego. Zmarnowałem na to kilka dni, tymczasem w biurze ktoś zachorował i mnie kazano urlop odłożyć, a chorego zastąpić. Gdybym był wyjechał, byłoby mnie to ominęło. Przyjaciel mój zatelefonował do mnie: osiołkowi w żłobie dano...

Otóż ostatnio wygrał on na Loterji Państwowej większą snmę. Składałem mu z tej okazji życzenia i przytem westchnąłem: Mnie to się nie mogło przytrafić...

A on na to: „Ażeby wygrać, trzeba grać. Właśnie nadchodzi gwiazdka. Z tej okazji przyjmij ode mnie upominek w postaci losu loteryjnego".

Naturalnie — przyjąłem: podziękowałem, I teraz pełen nadziei czekam, wierząc, iż Fortuna o mnie nie zapomni.

Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, czytelniach.

wi błękitnemu, na którym układały się tak pięknie szlarki fartuszka. Tylko Antoś nie sięgał i byłby innych po tych łapach widłami tłukł, ale nie miał jeszcze prawa żadnego ku temu i na śmiech nie chciał się narazić.

W kuchni gospodynię zajęli koło kotliny, aż się warzachwią broniła, rada przecież, że kawalerów w koło niej pełno. Potem wódkę pili, ino Antoś nie chciał, bo był odpisany i śmieli się z niego. Marysi kazali także usteczka przytknąć do flaszki, a po Marysi anioł pił. Antkowi była taka zazdrość, jakby już nigdy w życiu nie miał się napoić żadną dobrocią. Marysia to spostrzegła i mówi:

„Antoś... napij się krzynkę.:; coś ci za to powiem w niedzielę..."

I sama Antkowi butelkę do ust przychyliła, a temi oczami w oczy mu tak patrzy, że sam nie wiedząc kiedy — pije, jakby ogień pił. Ino, że sam nie wie, czy ten ogień z wódki, czy z kochania.

Ciepło z ogniska kuchennego rozczerwieniło zmarznięte twarze i chłopy tajały a niesporo było im odchodzić z tej ciepłej, wesołej kuchni, pełnej babskiego rządzenia, zawsze łaskawego dla chłopaków. —

„Antoś, co z ciebie za djabeł?" śmieje się Marysia, niespokojna, że chłopak nie bierze się ku niej, tylko jakiś ogłupiały stoi. A właśnie dziś trochę jej przypadł do serca w tem djabelskiem, obcisłem ubraniu, co miało trochę miejskiego szyku, a przytem brwi i całą gębę miał trochę przyczernioną, przez co więcej męs-ki był, nie taki mdlący jak zawsze i wypłowiały. Już nieraz myślała, czy się jednak nie zgodzić na małżeństwo z Antkiem, bo torfiarzowy syn miał się dobrze, a ogrodnik jak nie chciał o ślubie gadać, tak nie chciał i żadne łzy nie pomagały.

Antek złowił w locie ten cień przychylności. Ciepło, wódka i radość przejęły go, jak płomień przejmuje drewno i cały zagorzał. Ku Marysi znagła się rzucił, głową naprzód, niby to rogami chcąc ją potrykać. Przez chwilę miał blisko pod ustami odsłonienie jej szyjki, w ząbek wycięte, atłasowe i różowe jak płatek kwitnącej jabłoni, ale już odskoczyła i uciekła przed nim, czy też wyprowadzić go chciała do sieni. Na progu zderzyli się z wchodzącym do kuchni ogrodnikiem.

Zaraz przycichło i po kuchni chłód powiał, jakby go ogrodnik na czapie swej oszronialej przyniósł i na ciemnych brwiach. Chłop to był wielki i choć nieżonaty — już w latach dojrzały, zmiejska się noszący. Na Marysię fuknął, odpychając ją ze złością:

„Czego się gzisz? Na górę idź."

I szedł dalej do kuchni, nie patrząc na nikogo i nikogo nie widząc, jakby ta kuchnia pusta była. Usiadł na stołku między pieńkiem do rąbania mięsa, a kuchennym stołem. Miejsce to było zaszczytne, samej gospodyni przynależne i nie każdy byłby śmiał drzeć się do niego. Poczuły chłopaki, że wesołość się skończyła, bo i Marysia spłoszyła się jakoś, nad kotliną stanęła, od niechcenia garnki przestawiając.

Śmierć rzekła:

„No, już czas".

I kosę podjęła, opartą o wysoki piec do chleba.

Ruszyli kolędnicy. Mówili, odchodząc: „Dobranoc, pani gosposiu, dobranoc pannie Marysi. A niech się Marysi jeden z nas przyśni..."

„A którego z nas panna Marysia we śnie widzieć rada najwięcej?", spytał Herod. Marysia każdego pokolei oczami dotknęła, przed ubieloną twarzą śmierci się wzdrygnęła, na Antku najdłużej oczy zatrzymała, ale nic nie rzekła. Biały Antoś jarzącemi ślipiami odpowiedział i zrobił mały ruch głową wstecz, ku drzwiom. Skinęła rzęsami.

Wyszli kolędnicy przed dwór, na dziedziniec biały od księżyca, a mróz ciągnął na noc coraz twardszy, jakby chciał wszelki ciepły dech z żywego stworzenia a nawet z drzewa wypędzić.

Anioł począł zaraz zębami dzwonić i trząsł się aż mu skrzydła drżały. Król cienką purpurą okręcał się jak mógł, śmierć podskakiwała jak wrona z nogi na nogę.

„Gdzie pójdziem teraz?", spytał król.

„Do dom! Do dom!" zakrzyknęli.

„A ja przez ogród pójdę i jeziorem — do domu, to mi będzie bliżej" powiedział Antek. „Niech mi Regina moje obleczenie odniesie, a ja djabelskie jutro oddam."

I król z aniołem i śmiercią odeszli księżycową drogą za bramę, a djabeł trzęsący się cały — zaszył się w ścianę świerków i czekał.

Płynęły chwile w cichości wielkiej i bolesnym mrozie, ale w sercu radość była i ciepło, i wdzięczność za Marysine dobre spojrzenie, nadziei tyle i takich jasnych jak na niebie.

A gdy nie nadchodziła, strach i żałość, i na wspomnienie ogrodnika, taka gorzkość piekąca w sercu, podobna do ognia, od której zaczynało się w oczach robić czerwono.

„Bo jakże?..." myślał ;.przecież się z nią nie ożeni: bo mu za biedna, innemu nie da, a sam tylko zabawkę z dziewczyny sobie uczynił. Moje prawo inne, bo za żonę ją chcę. I nie ustąpię."

Drzwi cicho stuknęły i Marysia zajaśniała na progu w świetle miesiąca.

„Marysia..." jęknął. I zdawało mu się, że krokiem do niej nie ruszy, że w ziemię wrósł i do szorstkich gałęzi świerkowych przymarzł. Ale Marysia w cień do niego podbiegła i niby nie patrząc, i niby nic nie rozumiejąc — spytała:

„A czego tu stoisz? Zimno..."

„Ja ciebie... Marysia.:. Tego ogrodnika precz odgoń. Marysia... ja ciebie za żonę chcę!"

Nie śmiał jej objąć, choć blisko stała, bo była bielutka, a on usmolony, tylko zgrabiałe ręce składał przed nią blisko, jak przed świętym ołtarzem, widły sobie o ramię oparłszy.

Zaśmiała się z niego, ale nie urągliwie. Stary torfiarz biedny nie był, przebąkiwali ludzie, że synowi gospodarkę kupi.

„A twój ojciec pozwoli? Posagu nijakiego nie mam..."

„Marychna... bylebyś ty ino chciała... Marychna..."

I nagle przychylili się oboje ku sobie, jak dwoje dzieci w zabawie, i usta przytulili do ust, rękami się nie obejmując. Antkowi otworzyło się wielkie, wielkie niebo, lecz nagle jakaś siła odrzuciła go w bok i głowa zatrzęsła się od ciosu. Zatoczył się. Marysia pisknęła jak mysz i uciekła. Antek ujrzał blisko siebie zamiast jej twarzy najsłodszej — gębę ogrodnika z brwiami nastroszonemi i oczy pełne złości. Przyciszonym głosem, bo blisko nad nimi były pańskie okna, warczał Antkowi ustami w usta:

„Won, cholero jedna, bo gnaty połamię. Won, djable nieczysty!"
Wan, djable nieczysty!"

„Moje prawo" charknął Antek, ale mu ogrodnik pięścią w kamień ściśniętą w gębę dał i byłby Antek wszystkie zęby wypluł i oszpetniał na amen, ino że się uchylił trochę i cios w policzek przyjął.

Wtedy same widły mu o sobie przypomniały, trąciwszy go tego. Chwycił je, odskoczył i pchnął, nie patrząc, a ogrodnik zaraz zmalał przed nim, skurczył się i na powłóczyste gałęzie świerkowe leciał.

Antek nie czekał. Biegł przez twarde, szklące się mrozem i księżycem ścieżki ogrodowe, między drzewami wysokiemi. Wpadł w bzowe krze, nagie i boleśnie po gębie tnące prętami skrzepłemi jak druty, potem przez dziurę w parkanie, którą to nieraz ku Marysi swojej podchodził i już był na łące, już przed nim jak stół obrusem zasłany — gładź jeziora zastygłego.

Usłyszał śpiew ludzki, który go przeraził w tej chwili jak najgorsza klątwa, usłyszał skrzyp śniegu pod czyjemiś nogami, więc widły w tył za siebie cisnął, w ogrodowe krze i gdy się za niemi obejrzał, ujrzał cień swój na śnieg przez księżyc rzucony. I zdrętwiał, bo nie poznał swego cienia.

„Djabeł mnie goni! O matko!"

Leciał, sam nie wiedząc, jaką siłą niesiony, jakby go wiatr jakiś za włosy wlókł, a przecież cichość była wokoło. Chałupę swoją ujrzał na drugim brzegu i biegł już teraz przez lód, a nogi jego stukały jak po wieku trumny. I nagle wieko trzasło pod nim i po pachy w wodę wpadł, klasnąwszy dłońmi rozczapierzonemi o twarde, lodowe brzegi. Zrozumiał, że to branina była, cienkiem szkłem zarosła. Pod dłońmi miał lód mocny i chciał się wznieść, ale był do pasa jakby kleszczami ujęty, ciężki jak z ołowiu, a rękawy przymarzły mu zaraz do lodu, razem z wodą, która przy jego upadku wybuchła na powierzchnię. Nawet się nie bał, bo przecie człowiek szedł blisko. Zawołał:

„Ratunku!..."

Głos poleciał po lodzie jakiś słaby, jakby nie jego własny, ale śpiewający chłop zmilkł i już ku braninie śpieszył, taczając się trochę na boki. Nagle stanął, rogi na głowie wystającej z lodu rozpoznał w księżycu. Wrzasnął okropnie i wielkiemi skokami zawrócił do brzegu.

„Ratunku..." zawołał głos tak słaby, że podobny już tylko do echa.

Lecz chłop, ryczał, uciekając:

„Giń, przepadnij djable! Lżej nam będzie na ziemi!"

Wtedy Antek poczuł w sercu wszystek chłód jeziora. Wspomniał prędko matkę, Marysię, ogrodnika, widły... Przewiał ostatnia myśl:

„Gdybym lilię w ręku miał, jak Wawrzon — nie byłoby nieszczęścia..."

O świtaniu znaleźli ludzie djabła przymarzniętego na lodzie z smutnie zwieszoną na ramię rogatą głową.

M. Leszczyńska — Mittelstaedt.

Boże Narodzenie w przysłowiach

Przebywszy smutne, ciemne i dżdżyste grudniowe dnie ludzie radują się na Gody. Godami bowiem zwano dawniej w starym języku naszych pradziadów Boże Narodzenie. Uroczysta wigilja, pod białym obrusem z sianem i snopkami złotego zboża w kącie jadalni, była wstępem do tych Świąt Wesela, Świąt pełnych uroku. Ze świąt Bożego Narodzenia prorokowano, jaki będzie urodzaj, jaka pogoda w roku przyszłym i tak sobie mówiono.

Jeśli pola zielone gdy się Chrystus rodzi
W zmartwychwstaniu śnieg z mrozem kołaczom zaszkodzi

Albo mówiono też

Śnieg w Boże Narodzenie gdy na sady spadnie
Kwitnąć będą obficie to i prostak zgadnie

A gdy długo pogoda się w grudniu trzymała dodawano

Zielone Boże Narodzenie a Wielkanoc biała
Z roli, pola, łanów korzyść będzie mała

Dnia zaczynało już wtedy przybywać utarło się przysłowie

Na Boże Narodzenie
Przybyło dnia na kurze stąpienie

Inne przepowiednie tak znów głoszą.

Na wigilję każdego choćby wroga do domu przyjąć należy

A dalsze przysłowia mówią:

Mroźne Gody, będą wczesne wody
A jak słota to nierychło doczekasz się błota

Śmieszne są następujące dwa przysłowia

Jeśli na Gody mróz za nos cap
To na Wielkanoc będzie klap klap
A jak na Gody klap klap
To na Wielkanoc mróz za nos cap

Niektóre dzielnice, jak np. Śląsk, miały swoje specjalne przysłowia:

Jeśli na polu czarno gdy się Chrystus rodzi
To będzie biało na łanie kiedy Chrystus Zmartwychwstanie
A jeśli na Gody zielono zielono
To na Wielkanoc śniegu za kolano

Mazurów przysłowia streszczają się w kilku słowach

Wigilja piękna i Jutrznia jasna
Będzie stodoła tak pełna aż ciasna

* *

Koło Świętej Ewy
Noś długie cholewy.

Miejmy nadzieję, że nie wszystkie przysłowia się sprawdzają, przecież dla naszej rolniczej Polski i to w dobie przesilenia gospodarczego sprawy dotyczące urodzaju są zagadnieniem pierwszej wagi.

Oksza.

WESOŁYCH ŚWIĄT!

„Wesołych Świąt!" — to jest choinka,
płonące świeczki, dziad z piernika,
to promień szczęścia w oczach synka,
które wzruszeniem mnie przenika...
„Wesołych świąt!" — to obrus biały,
kruchy opłatek w drżącej dłoni
i przebaczenia gest nieśmiały,
który naszego domu broni...
„Wesołych świąt!" — to własne rano,
wolne od pracy i pośpiechu,
twarz wypoczęta i wyspana,
rozjaśniająca się w uśmiechu.
„Wesołych świąt!" — to czar przeszłości:
kolęda — „Ach, lulajże, lulaj!"
to tkliwość cichej serdeczności,
co jak śnieg biały nas otula...

Alina Kwiecińska.

HISTORJA JASEŁEK I SZOPEK STARODAWNYCH

Roczniki z III wieku po narodzeniu Chrystusa przynoszą nam bardzo ciekawe dane, dotyczące pierwszych cennych zabytków zachowanych z czasów Cesarzowej Heleny, uzmysławiających wiernie wnętrze cudownej stajenki. Z rozkazu tej cesarzowej wykuto z żółtego marmuru pierwsze wyobrażenie żłobka Boskiego dzieciątka i postawiono je w głównym ołtarzu kościoła. Następnie w roku 420 św. Hieronim w malowidłach swych daje nam konkretniejszy obraz narodzin Chrystusa, szkicuje wnętrze stajenki i zwierzęta, co daje następnie podstawę do późniejszej we wszystkich prawie chrześcijańskich krajach rozpowszechnionej szopki. Z inicjatywy tegoż męża kościoła rozbudowano grotę w Betleem w formie prawdziwej stajenki, puste ściany ożywiono wstawieniem rzeźbionych figur N. M. Panny i Św. Józefa, wprowadzono pastuszków, wołu i szereg innych zwierząt, które przyniesione były w ofierze. Nie brakło i urządzonej nieco na uboczu łąki, na której pastuszkowie paśli trzody i gdzie Anioł oznajmił im radosną nowinę. W oddali widniały nadciągające orszaki mędrców Wschodu spieszących na koniach i wielbłądach dla złożenia hołdu narodzonemu Zbawcy Świata. Wszystko to było spoczątku wykonane bardzo prymitywnie, stopniowo jednak zaczęto przybierać szopkę w różne, nawet nic nie mające wspólnego z historją, akcesorja; powstały melodje i śpiewki, długie djalogi, które stworzyły z widowiska tego prawdziwe arcydzieła sztuki. Najwspanialszy rozkwit jasełek i szopek przypada na czasy XIII wieku. Szczególnie Sycylja i Neapol wiodą prym we wszelakim zdobnictwie i artystycznych pomysłach, wytwarzając u siebie specjalny rodzaj szopkowego przemysłu. Odgrywane po kościołach jasełki przyczyniały się do rozpowszechnienia szopek, nie zawsze bowiem zadawalniano się przedstawieniem martwych jedynie figur. Widzowie pragnęli koniecznie, by wprowadzono do tych religijnych obchodów żywe i prawdziwe osoby dla uplastycznienia jeszcze bardziej drogiej i świętej pamiątki. Przed samem przedstawieniem wychodził na scenę ubrany na biało młodzieniec i zapowiadał spektakl, następnie krył się za scenę, przypinał skrzydła i odgrywał rolę Anioła, zwiastującego poczęcie N. Pannie. Młoda dziewczyna ucharakteryzowana za Najświętszą panienkę musiała cicho radować się z otrzymanej obietnicy. Po chwili na scenę wbiegał mały chłopczyk przebrany za koguta i obwieszczał piejącym głosem zebranym widzom, że Matka Boska właśnie przed chwilą powiła Syna. Później rozszerzono nieco ów dość szczupły program, pokazując dodatkowo widzom nowonarodzone Dzieciątko. Przed publicznością przewijała je w żłobku lub kolebce Naj. Panienka, poczem śpiewała mu do snu piosenki. Piosenki te a właściwie kołysanki stanowiły dość długi czas jedyną właściwie literacką treść najstarszych jasełek. Powoli jednak a stale rozwija się zwyczaj obchodzenia jasełek, rozszerza ich program i przybywa coraz więcej biorących w nich udział osób. Najwyższy ich rozkwit następuje w początkach XVI wieku: Obok św. Rodziny i pastuszków zjawia się na scenie szereg nowych postaci. Archanioła Gabryela, uczonych i Faryzeuszy, trzech mędrców Wschodu Heroda i wiele innych, nie mających zazwyczaj nic wspólnego z czystą religijną tradycją. Wzbogacenie programu w jasełkach nie pozostawało jak już wspomniałam bez wpływu i na rozwój i na urozmaicenie urządzanych w tych samych okresach świątecznych szopek. W Niemczech w mieście Monachium urządzili Jezuici w nowo wybudowanym kościele św. Michała w roku 1607 wielką i wspaniałą szopkę. Spotkała się ona z ogromnym entuzjazmem i odrazu znalazła licznych naśladowców Figurki przedstawiające Mędrców Wschodu niewystępowały tam same pojedyńczo, ale z licznemi orszakami dworzan i niewolników z muzyką, słoniami i wielbłądami. Cały przebogaty Wschód XVIII stulecia przesuwał się jak w bajce przed oczyma zachwyconych widzów. Południowe włoskie i sycylijskie szopki były doskonałym wzorem przedstawiania Wschodu dla artystycznego przemysłu szopkarskiego wszystkich krajów europejskich.

Oksza.

Najmilsza gwiazdka Jędrusia i Haneczki

Zapadał wczesny grudniowy zmrok. Stefan odłożył gazetę, której zresztą już od długiej chwili nie czytał. Nie mógł skupić uwagi. Dziwnie mało obchodziła go dzisiaj akcja oddłużeniowa i ostatnie posunięcia kanclerza Trzeciej Rzeszy. Myśli uparcie powracały do sprawy, którą przecież już definitywnie rozstrzygnął.

— No trudno! Nie będę raz na wilji w domu — dziura w niebie się nie zrobi. Całe miasto nie potrzebuje zaraz o tem wiedzieć. Że Iza czuje się tem dotknięta, nie można się dziwić. Ale jako główny argument wysuwała dzieci... Będą napewno przejęte choinką i podarkami i ledwo zauważą, że mnie niema. A Iza? Jest ostatnio tak chłodna i jakaś daleka — trudno przypuścić, żeby ją bliżej obeszła moja nieobecność. Swoją drogą — to dziwne, jak ona się w ostatnich czasach zmieniła w stosunku do mnie, a przecież wykluczone, żeby się czegoś domyślała... Ale w takim razie, czemu jest taka jakaś obca i obojętna? Zresztą jest też nad czem łamać sobie głowę — przecież ostatecznie jest mi to nawet bardzo na rękę. Zakończył swoje rozmyślania z typowym męskim egoizmem.

Nad tem, co odczuwa jego żona, nie zastanawiał się. Jak każdy mąż zdradzający żonę był święcie przekonany o swoich zdolnościach dyplomatycznych i o tem, że „ona się przecież i tak niczego nie domyśla". Że Iza nietylko się domyśla, ale wie wszystko i dlatego właśnie jest „taka jakaś obca i obojętna", bo duma niepozwala jej narzucać się, nie przyszło mu wcale na myśl.

Duży zegar w stołowym pokoju wydzwonił głębokim głosem godzinę.

— Mam jeszcze czas — pomyślał Stefan, przeciągając się w wygodnym fotelu. W gabinecie panowała zupełna cisza, tak że słychać było tykanie zegara w sąsiedniej jadalni. Z głębi domu dolatywał gwar stłumiony oddaleniem i pozamykanemi drzwiami. Iza jest teraz w kuchni; przecież nie może się odbyć oprawianie karpia bez niej. Po obiedzie, gdy dzieci spały, ubierała w salonie choinkę. Trzeba przyznać, że jest z niej idealna pani domu. Wszystko jest zawsze jak należy i w porę zrobione, bez niepotrzebnego zamieszania, bieganiny i hałasu. A przytem wcale nie siedzi po uszy w gospodarstwie i dzieciach. Zawsze ma czas na lekturę, na teatr, na muzykę... Tylko, że teraz nigdy nie gra, a dawniej prawie codziennie wieczorem siadała do fortepianu. I jest naprawdę inteligentna, tą inteligencją może mniej błyskotliwą, ale zato sięgającą głęboko. Jak dobrze się z nią dyskutuje. Nawet Renie z całym jej dowcipem, ciętością i błyskotliwością nie udałoby się zapędzić Izy w kozi róg. Rena! — cóż za wspaniała kobieta! takich nie spotyka się tuzinami. Dla takiej warto popełnić szaleństwo większe niż nieobecność w domu na wigilji...

Wydało mu się, że z mroku zalegającego coraz szczelniej pokój patrzą na niego czarne, wschodnie oczy o bronzowawych białkach, że uśmiechają się do niego duże, zmysłowe, jaskrawo umalowane usta pani Reny.

— Co za szalony pomysł, żeby wyprawiać wigilję w gabinecie restauracyjnym — to ją najlepiej charakteryzuje. Zresztą — zrobiła to tylko po to, żeby się przekonać, czy potrafię poświęcić dla niej wigilję w domu. Dlatego też nie chciała zgodzić się na godzinę ósmą, tylko upierała się przy szóstej. Bielski nie przyjdzie, będzie się bał żony. Reszta stawi się napewno. No — wyobrażam sobie to pijaństwo...

Podniecony perspektywą wesołej zabawy wstał z fotela i zapalił lampę na biurku. Światło jej padło na stojącą obok fotografję Izy. Z obramowania staroświeckiej, srebrnej ramki spojrzały na niego pogodnie duże oczy, uśmiechnęły się słodko małe choć pełne usta. Po raz pierwszy nasunęło mu się porównanie tych dwóch kobiet. Stał chwilę zamyślony, poczem żachnął się niecierpliwie:

— Dla Reny można popełnić szaleństwo, ale ostatecznie to nie jest kobieta, którą się bierze za żonę. Porównanie z Izą zupełnie niemożliwe.

Zgasił lampę i poszedł do sypialni przebrać się przed wyjściem z domu.

Było właśnie wpół do szóstej, gdy Stefan w smokingu stanął przed lustrem, poprawiając krawat. Mimo zbliżającej się czterdziestki wyglądał na młodego chłopca. Z zadowoleniem przyjrzał się swemu odbiciu.

Było jeszcze dosyć wcześnie, ale postanowił już iść. Może podświadomie bał się, że w ostatniej chwili zbraknie mu odwagi. Szukając rękawiczek i starając się nie robić hałasu, pomyślał, że wszystko wygląda tak, jakby cichaczem uciekał z domu.

Przez otwarte drzwi jadalni widać było stół przybrany hiacyntami, w których hodowaniu Iza była mistrzynią i nakrycia na trzy osoby. Na ten widok podziały się gdzieś duma i zadowolenie wywołane poczuciem niezależności i swobody. Zrobiło mu się przykro. Przecież bądź, co bądź on tu jest panem domu, mężem, ojcem, a tak łatwo potrafią się bez niego obejść, jakby już w domu nic nie znaczył. Iza nawet nie spytała, czemu musi wyjść. Powiedziała tylko z dziwną intonacją:

— No — jeżeli nie możesz inaczej...

Z dziecinnego pokoju doleciał pisk. To napewno Haneczka nie pozwala sobie myć uszu. Zawsze są przy tem awantury. Pewno się teraz przebiera do stołu.

— A możeby pójść pożegnać się z dziećmi? — zastanowił się przez chwilę. Nie! tylko bez zbytecznych rozczulań!

Właśnie wciągał futro, gdy drzwi dziecinnego pokoju otworzyły się z impetem i do hall'u wpadła mała złotowłosa figurka w koszulce i odpiętych majtadałkach.

— Nie pozwolem, nie pozwolem! — wołała na cały głos — lano mylam, to wystalcy...

Zobaczywszy ojca, skoczyła ku niemu jak iskra.

— Tatusiu, obloń Hanecie psed nianiusią! Juś dlugi laz dzisiaj chce mi myć uski...

Urwała, zobaczywszy, że ojciec jest ubrany jak do wyjścia.

— Tatusiu!? wychodzis? Psecie zalaz będzie wilja!

— Muszę Haneczko. Tatusiowi ogromnie przykro, ale musi...

Przez uchylone drzwi dziecinnego pokoju wysunęła się ciemna chłopięca główka.

— Haneczko, bo niania nie zdąży cię ubrać. Jak ci nie wstyd biegać w odpiętych majtadałkach?

Haneczka odwróciła ku niemu posmutniałą buzię.

— Jędlusiu, tatuś chce wyjść... Psecie nie możemy mu pozwolić...

Jędrek ubrany w aksamitne ubranko i duży kołnierz koronkowy podszedł szybko do ojca.

— Naprawdę tatuś nie chce być na wilji z nami?

— Nie mogę, synku...

— Ale my byliśmy dziś zupełnie grzeczni, naprawdę!

— Wierzę ale mimo to muszę wyjść. Przecież doskonale obędzie się ten raz beze mnie:

— Bez tatusia, to wogóle nie będzie wilja...

— Tatusiu — powiedziała Haneczka uroczyście, wspinając się na paluszki i czepiając ojcowskiego rękawa — to ja jus umyje dlugi laz usy, a'le ty zostanies, dobze?

Stefan zaczął się niecierpliwić.

— No idź, Haneczko. Przecież tatuś wyraźnie ci powiedział, że musi wyjść. No — idź już do niani — dodał łagodniej, widząc usteczka wygięte w podkówkę i duże łzy kapiące po buzi — nie trzeba grymasić.

Ale Haneczka rozpłakała się na dobre. Stefan wziął ją na ręce. Żal mu się zrobiło małej.

— Nie płacz, Hanulko — bądź grzeczną. Tatuś kupi ci za to jutro gwiazdora z czekolady, takiego dużego, jak ten, którego oglądaliśmy w oknie, pamiętasz?

— Nie chcem gwiaździla, chcem tatu-

sia — szlochała Haneczka. Tatuś jus telaz nigdy nie ma caśu dla Hanećty, ani dla Jędlusia, ani dla mamy... Juś nigdy nie psychodzi do nas na doblanoc... Tatuś jest niedobly!...

Stefan był coraz więcej zakłopotany. Spojrzał na syna. Jędruś miał minę poważną i patrzał w ziemię.

— Jędrek, broń tatusia! Haneczka mówi, że jestem niedobry. Czy to prawda?

— Nie wiem. Ale tatuś już nas tak nie kocha, jak dawniej...

Stefanowi zrobiło się niewymownie przykro. Rzeczywiście ostatniemi czasy zaniedbał swoje dzieci bardzo. A teraz Haneczka chlipie mu w kołnierz futra, a Jędrek stoi przed nim poważny i unika jego wzroku. Zastanowił się chwilę. Wigilja nie potrwa dłużej, jak do siódmej. Potem zajmą się pod choinką prezentami i będzie można wysunąć się niepostrzeżenie. Renie się jakoś wytłomaczy...

— Haneczko, nie płacz — powiedział wesoło — tatuś zostanie

— Naplawdę? Ach! jak to dobze! — i małe, ciepłe ramionka silnie zaplotły się koło jego szyi.

Buzia Jędrusia rozjaśniła się.

— Bez tatusia byłoby tak smutno — i na wyścigi z Haneczką ściągał z ojca futro i szal.

— Tatusiu, a telaz chodź ubielać Hanecte — przymilała się mała, ciągnąc ojca za rękę do dziecinnego pokoju.

— Nie męcz tatusia — strofował ją Jędrek.

Gdy w chwilę potem Iza weszła do dziecinnego pokoju, ujrzała Stefana w smokingu, siedzącego z Haneczką na kolanach i cierpliwie rozczesującego jasne loki.

— Mamusiu, tatuś chciał śobie iść, aleśmy mu z Jędlusiem nie pozwolili — oznajmiła z ważną miną Haneczka.

Szczupła, szlachetnie zarysowana twarz Izy rozjaśniła się.

— Naprawdę? to ślicznie! — powiedziała spokojnie — nianiu, proszę prędko dołożyć jeszcze jedno nakrycie.

— — — — — — — — — — — — —

Punktualnie o szóstej Haneczka triumfalnie wprowadziła ojca do jadalni.

— Jest tatuś — powiedziała Iza — dzieci, możemy siadać.

Stefan stanął przy swojem krześle zmieszany i nieswój. Zupełnie mimowoli czuł się jak winowajca, jak syn marnotrawny przyjęty spowrotem na łono rodziny i zły był o to na siebie.

Iza wzięła ze stołu opłatek i podeszła do niego.

— Życzę ci wszystkiego dobrego, Stef — pawiedziała cicho — i dziękuję ci, że zrobiłeś to dla dzieci i zostałeś na wigilji.

Milcząc, pocałował ją w rękę.

Zasiedli do stołu. Dzieci podniecone i wesołe szczebiotały bez przerwy. Powoli zniknęło zakłopotanie Stefana. Przekomarzał się wesoło z dziećmi, wciągając do rozmowy żonę.

— Jak ona ładnie wygląda — myślał, obierając starannie z ości porcję karpia dla Jędrusia i od czasu do czasu przyglądając się Izie. Suknia koloru czerwonego wina uwydatniała przejrzystość jej cery i złocistą puszystość włosów. Świeże, bladoróżowe usta uśmiechały się cicho i słodko. Stefan może nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, że to, co pociągnęło go swego czasu do Izy, pociąga go zawsze jeszcze z równą siłą: otaczająca ją atmosfera spokoju i pewności. Już sama jej obecność działała kojąco. Było coś dziwnie uspakajającego w miękkich, wytwornych poruszeniach jej rąk. I nagle w tej chwili Stefan jasno uświadomił sobie, że przecież tylko tutaj naprzeciw tej jasnowłosej kobiety, obok tych dwóch główek dziecinnych jest jego właściwe miejsce.

— Dobrze się stało, że zostałem — powiedział sobie w duchu.

Po wilji zaprowadzili dzieci do salonu, gdzie pod jasno oświetloną choinką leżały porozkładane zabawki. W tej chwili Stefan uprzytomnił sobie, że nie pomyślał w tym roku wcale o prezentach dla dzieci. To wszystko, co leżało tam pod choinką, to były dary Izy i zapewne dziadków. Od niego nic tam nie było. Zrobiło mu się przykro, już poraz trzeci tego wieczoru. Usunął się w kąt za choinkę. Z zamyślenia wyrwał go głos Jędrusia.

— Tatusiu, gdzie się schowałeś? Chciałem ci podziękować za samochód... taki właśnie jakiego sobie życzyłem...

— Ale on nie jest odemnie...

— Jakto nie? Przecież ja już umiem czytać!

Do samochodu przyczepiona była duża karta. „Od tatusia" było na niej napisane ręką Izy.

Już też Haneczka szła dziękować za „lalusię".

Stefan podszedł do Izy.

— Dziękuję ci, moja droga — powiedział drżącym trochę głosem, tak mi było przykro, zupełnie o tem zapomniałem!

Potem Iza grała kolędy i wszyscy śpiewali. A po herbacie i bakaljach Haneczka położyła przed ojcem książkę z bajkami. Spojrzał na zegar. Była ósma. Ostatni czas, żeby pójść do Reny. Ale Haneczka już usadowiła mu się na kolanach i otwierała książkę przy najładniejszym obrazku. Więc czytał o Szklanej Górze, o kijusamobiju, i jeszcze o Babie Jadze. Jędrek tymczasem ustawiał swoich żołnierzy, a Iza łupała orzechy i mieszała je z miodem na kryształowych talerzykach.

A jeszcze potem musiał kłaść Haneczkę spać, bo zapowiedziała zgóry, że nikt inny tylko tatuś będzie ją dziś „łożbielał". Usnęła mu prawie na rękach, tak była zmęczona. A Jędrek ściskając go na dobranoc szepnął mu do ucha:

— Jeszcze nigdy nie było takiej miłej Gwiazdki!

A gdy Iza zgasiła lampę i wyszli na palcach z dziecinnego pokoju, było już dobrze po dziesiątej. Stanowczo zapóźno, żeby iść do Reny. Zresztą nie miał już nawet ochoty. Udał się do swego gabinetu i siadłszy przy biurku pogrążył się głęboko w myślach. Nie wesołe one były, gdyż na gładkiem zazwyczaj czole Stefana zarysowała się zmarszczka.

Z zamyślenia obudził go jakiś ruch w przedpokoju. Zaniepokojony otworzył drzwi gabinetu. Iza otulona w futro otwierała z łańcucha wchodowe drzwi.

— Wychodzisz? — zdziwił się.

— Idę na pasterkę.

— Tak późno, nie powinnaś chodzić sama. Czekaj pójdę z tobą.

Ubrał się szybko i po raz pierwszy od wielu dni wyszli razem z domu.

— — — — — — — — —

Minęło kilka tygodni.

Był znowu wczesny, zimowy wieczór. W złocistym kręgu lampy na niskiej kanapce siedzieli Stefan i Iza. Jej jasna głowa opierała się o jego ramię. On z ożywieniem opowiadał ciekawą sprawę, jaką miał dnia tego w sądzie. Ona słuchała uważnie.

Wtem cicho otworzyły się drzwi.

Mała figurka w długiej koszulince przypadła do ich kolan.

— A kto to obiecał psyjść na doblanoc? Tatuś ciągle tylko z mamusią łoźmawia i łoźmawia... juś też nie wiem o cem!...

— Haneczko, nie wolno biegać boso po podłodze — strofowała Iza.

A Stefan wziął małą na kolana.

— Moja kruszynka kochana — powiedział, całując jasne loki Haneczki — nigdy nie zapomnę, że to ona właśnie, jej łezki i jej żałosne „tatuś już nigdy teraz nie ma dla nas czasu", przywiodły mnie do opamiętania...

— To są rzeczy dawno minione i zapomniane... nie mówmy o tem, Stef — powiedziała łagodnie Iza, kładąc dłoń na jego ręku. Chodźmy odnieść Haneczkę do łóżeczka...

Halina Szrantówna.

ODESZŁA JESIEN

Odeszła jesień i odarła ziemię z jej bogactw i klejnotów...

Złocisto-purpurowy płaszcz ziemi wdeptała w błoto, powiewne jedwabne tkaniny babiego lata stargała w strzępy... Przepadły gdzieś szkarłatne kule jabłek, podłużne bursztyny gruszek. Znikły ciemne granaty śliw, perły leszczynowych orzechów i rzęsiste korale jarzębiny...

Wielki, żałosny szloch targnął nagiemi ramionami drzew — jęk smutku przeleciał przez opustoszałe pola...

Ostry, niepokojący krzyk dzikich gęsi przeciągnął pod niebem... A nad sczerniałemi kartofliskami wrony kraczą i kraczą chrapliwie...

Obiły się skargi te, wichrem w dal pędzone, o lodowe serce mroźnej zimy.

Ulitowała się nad ziemią-sierotą. Odziała ją ziębniętą od słoty i wiatru. Białe kłęby obłoków zmroziła i rzuciła z błękitnego nieba na szarą, zapłakaną ziemię. Białe chmury okryły rozległe, ściemniałe pola, kładąc w rozpadlinach brózd bladosiną tęsknotę za niebem, a na grzbietach skib różano-złote odblaski zimowego słońca.

Strzępy obłoków otuliły nagie gałęzie drzew.

Lśni w zimowem słońcu i pyszni się ziemia bogactwem swem nowem... Wszędzie kryształy, brylanty i koronki szronu, wspaniałe srebra wód...

Nadchodzi blada noc zimowa.

Seledynowy księżyc zapala czarnoksięską latarnię.

Świat stoi zaczarowany.

Niesamowitym blaskiem srebrnym lśnią zwierciadła lodowe wód. Drogi i pola sadzone brylantami — jak w najcudniejszej bajce. Las — zaczarowany pałac ze świateł, blasków i cieni... zamieszkały przez tajemnicze postacie... Tu rycerze w srebrnych zbrojach z włóczniami sopli lśniących w miesięcznej poświacie... Tam śliczne królewny w powłóczystych szatach... Korowód duchów białych a zwiewnych i potworna czarownica stuletnia... a pod krzakami w swych śnieżnych kołpakach siedzą cicho przykucnięte białobrode krasnoludy...

A ziemia pod szczelnem przykryciem zasypia twardym snem z którego kiedyś... kiedyś obudzi ją wiosna.

Danka Domaszówna.

CUD WIGILIJNY

Już po Wieczerzy zapalone na choince świeczki stwarzają dziwnie uroczysty i rzewny nastrój. Starsza kobieta usadowiona w wygodnym fotelu, rozradowanym wzrokiem spogląda na grupę młodych przekomarzających się przy choince dzieci! Zawsze muszą się posprzeczać. Matka zawsze musi czuwać nad porządkiem — tak i teraz — sprzeczka przybiera ostrzejszy ton, pani Wirska poprawia się w fotelu i woła:

— Czekam i czekam na kolendy — a tu nic!

— Zaraz matuś!

Bo my chcemy mateńko, żeby Bohuś opowiedział coś ciekawego przedtem.

— Mrożącego krew!

— Wigilijnego.

— Co chce — byleby opowiedział!

— Ale dlaczego właśnie on?

— Och! — bo on jedyny do opowiadań.

— Czy mateńka nie wie, że to kandydat na bardzo dobrego wujaszka?

— Takiego, jakim był wujek Ignaś!

Pani Wirskiej na wspomnienie brata oczy zachodzą mgłą, z dumą spogląda na syna. Tak! Wziął po ojcu wzrost i szczupłą postawę, po niej odziedziczył ciemne włosy, ale oczy ma brata, jej ukochanego Ignasia, którego zagarnęła zawierucha Wielkiej Wojny i do dzisiaj nie oddała. Uśmiecha się smutno i mówi:

— Więc dobrze — opowiadaj Bohuśku.

— I matek na mnie? — ratujcie mnie aniołowie święci! — z komicznym gestem załamuje ręce, lecz oczy mu się śmieją.

— Bohuśku, tylko coś wesołego — prosi osiemnastoletnia Irka.

— Może być i smutne byleby z dobrem zakończeniem — proponuje Jaga.

— Byleby nie o duchach — wtrąca Ina, bo całą noc nie mogłabym zasnąć.

— Matuś! — co opowiadać? — Wesołe, smutne, — nie o duchach? — pyta Bohuś, siadając na niskim stoleczku u stóp Matki — i opierając głowę o jej ramię. Białe ręce pieszczotliwie przesuwają się po jego włosach i płynie cicha odpowiedź:

— Spójrz na choinkę — przymknij oczy i mów, co ci serduszko podyktuje.

Bohuś stosuje się do rady. Opiera się plecami o poręcz bliskiej kanapy i zaczyna:

— Opowiem wam nie straszne i nie smutne — to takie zwykłe — z życia codziennego wzięte — zdarzenie — nie z tego dzisiejszego — unormowanego, lecz tamtego, któreśmy przeżyli prawie wszyscy tu obecni. Działo się to w dzień Wigilijny 1919 r. — i dlatego może będzie dla was ciekawe. Słuchajcie:

— — — — — — — — — — —

— Marek przetarł oczy — tak jasno, a cicho — dlaczego? — rozejrzał się po sali — chłopcy jeszcze śpią — wcześnie, wyciągnął się pod cienkim kocem i wzdrygnął z zimna, skulił się więc znowu nakrył na z głową, zostawiając tylko szczelinę do oddychania, starał się zasnąć, ale myśl już pracowała: Jasno, bo ponowa, zaraz po śniadaniu, jeśli „pani" nie da żadnej roboty, pójdzie do Basi, i zaraz razem z nią do mamy, żeby tylko dojść za dnia!— zdążyć przynieść choinkę z „kniejki", co rozciąga się za parkiem pałacowym. Są jeszcze u mamy stare złote nici i świeczki. Basia zrobiła zabawki, choć wypiera się, ale widział, że coś kleiła, gdy nocował u niej! A on niespodziewanie zdobył lichtarzyki, bo pani wczoraj, ubierając choinkę dla bursy, sortowała ofiarowane zabawki i wszystkie zepsute lichtarzyki kazała Markowi wyrzucić na śmietnik, on ich jednak nie wyrzucił, bo wie, że wszystkie można jeszcze użyć, tylko potrzeba drutu. Skądby go wziąć?.: Mietek ma, ale pewno będzie chciał za to chleb z całego tygodnia, a Marek, jeśli pije czarną kawę bez chleba, to potem nie może się uczyć, bo już w szkole zaczynają mu latać czarne płatki przed oczyma i cała klasa tańczy, a w uszach szumi tak, że nic nie można zrozumieć, co mówi pan nauczyciel. Żeby tak dał za dwie porcje?!

Dalszy bieg myśli przerywa dzwonek na wstawanie, chłopcy podnoszą się leniwie, ale zimno zaraz zmusza do prędszych ruchów. Marek wraz z innymi śpieszy do umywalni, wycierając się, zaczepia Mietka:

— Te! „Stonoga" — masz gwóźdź?

— Mam! — a poco ci?...

— Duży?

— Pokaż!

— Pewno... a co dasz?

— Za pokazanie?

— A cóż— darmo ci będę pokazywał? Daj dziś chleb!

Dziś chleb? nie! taka bezczelność porusza Marka do głębi, więc odpowiada porywczo:

— A w zęby?

— „Piekielniczku" — nie obiecuj ;,w zęby", tylko sam bierz! — ot widzisz? — już leżysz!

Marek rzeczywiście leży, lecz zrywa się momentalnie i uderza głową w brzuch wyższego o głowę przeciwnika, rozpoczyna się regularna bójka, widzów niema, bo chłopcy spieszą na pacierz i śniadanie.

— Marek! — Mietek! — co to znowu? dziś Wigilja, a oni bójki urządzają, — rozlega się nad ich głowami głos pani — za karę po śniadaniu pójdziecie do roboty! Jednocześnie silne ręce ujęły za kołnierze walczących i odrzuciły zapaśników w dwie przeciwne strony.

— — — — — — — — — — —

Metek za karę pomaga kucharce szorować kotły Marek, czekając na zapowiedzianą karę, stoi na korytarzu przed drzwiami kierowniczki.

...jeszcze nic, ale wzięłam Marka to zaraz będzie. Te baby zawsze muszą gadać — mruczy Marek pod nosem — już dziesiąta, a Basia czeka, dałaby już pani tę robotę nareszcie.

...o nie! — nie skradnie! to nie złodziej, to inteligentny chłopak — wpada znowu w uszy głos pani.

Marek uśmiecha się zadowolony, stanowczo to o nim mówią, lecz zaraz inna myśl psuje radość — „Lichtarzyki", może jednak trzeba było powiedzieć pani, że można je naprawić, tylko trzeba drutu, skąd go dobyć?... ta myśl absorbuje go zupełnie. Szoruje w spiżarni podłogę, przestawia słoje i pudełka, wyciera półki, na których stoją pełniuteńkie blachy pierników; sięgnąć tylko... ale Marek nie chce „schamieć". W kącie znajduje małe pudełko obite drutem, oczy mu się zaiskrzyły i odkłada pudełko na półkę. Spiżarnia już sprzątnięta, pani zadowolona, odkłada do torebki pierniki i ogląda się za czemś.

— Chciałam ci dać trochę orzechów dla Basi, ale w czem?...

— Może do tego pudełka? podchwytuje Marek.

— To za małe! — ale jeśli potrzebne ci to pudełko — to weź!

Marek naprawdę kocha panią, bo choć jest „babą" i zmitrężył przez nią pół dnia, jednak ma upragniony drut!...

Uszczęśliwiony pakuje manatki i żegna się z bursą na całe święta. Na podwórku zaczepia go Mietek.

— Piekielniczku — ot mój gwóźdź!

— Ten? — nie nadaje się! — a może masz drut? — tylko gruby!

— Jest! — patrz — czy to cieńki?

— Za cieńki! — krzywi się pogardliwie Marek, ale oczy mu się śmieją, właśnie taki, jakiego potrzebuje.

— Musiałbym podwójnie skręcać mruczy niby do siebie, lecz tak, żeby słyszał Mietek.

— Nie bujaj! — wiem, do czego potrzebujesz.

— Do czego? — niedowierzająco trwożne pytanie Marka.

— Do lichtarzyków! — Myślisz, że nie widziałem wczoraj, jak wysypałeś na śmietnik, a potem zaraz pozbierałeś? — No, — handel?

— Handel — pada niezdecydowanym głosem odpowiedź.

— Daj 15 lichtarzyków, a ja ci dam pół drutu.

— Figa! — mam wszystkiego trzynaście.

— To daj osiem — a nie, to powiem pani.

Idź! mów! — dam dwa?

Ale i Mietek wie, że nie należy przeciągać struny, skargą nie wskóra nic, bo Marek już będzie daleko, uderza więc w czułą nutę. Daj choć pięć! Józka już napewno niedługo umrze. Ja dla niej.

Marka serduszko mięknie.

— Masz! — ale tylko cztery dobre, jeden gorszy.

Pomimo zastrzeżenia tranzakcja dochodzi do skutku i Marek uszczęśliwiony pędzi przez ulice miasta — nie przyciągają go dziś wystawy sklepowe, ani lśniące zamarznięte rynsztoki. Potrącany przez spieszących przechodniów, biegnie co sił i wreszcie pociąga za dzwonek, otwiera nie Basia tylko pani Józefowa, to go trochę peszy.

— A Basia?

— Jest — jest twoja Basia — tylko leniuchuje dzisiaj cały dzień, głowa ją boli, leży!

— Leży? dziwi się Marek — Basię codzień boli głowa w szkole, a nigdy nie leżała— zwarzony wchodzi do pokoiku siostry. Basia na skrzyp drzwi odwraca się i widząc Marka siada na łóżku.

— To ty Mareczku? zaraz się ubiorę, zaczekaj, głowa mnie boli i tak szalenie spać się chce, ale zaraz!

Basia z trudem sznuruje buciki i wciąga płaszcz, ale nie ma sił. Idąc przez pokój, chwieje się na nogach i nie dochodząc do drzwi siada. Marek jest już zupełnie wystraszony, gdy pyta:

— Basiu, co tobie?

— Sama nie wiem! — tak mi strasznie w uszach dzwoni i spać się chce i głowa boli — nagle spotyka wzrok Marka i łzy zjawiają się w jej oczach. Naprawdę Mareczku, nie mam zupełnie siły, chyba już dziś nie pójdziemy?

Marek jest strasznie rozżalony.

— Wigilja bez mamy? — do czego to podobne? — zaciśnij zęby, Basiu, to może będziesz miała siły? — poucza siostrę.

Basia zaciska zęby i próbuje wstać, chwieje się jednak na nogach i uśmiecha smutnie:

— Nie, Mareczku, nie mam siły, ale pójdź do panny Marji, może da coś na ból głowy.

— Nie chcę! — tam jest ten straszny generał z wąsami!

— To nie generał, to doktór — uśmiecha się Basia — zadzwoń od kuchni, to ci służący otworzy i poprosi pannę Marję.

Panna Marja jest bardzo miła i „praktykuje" w bursie, więc Marek ją zna, boi się tylko jej ojca, ale tego na szczęście niema w domu i panna Marja teraz siedzi i mierzy temperaturę Basi i z malutkiego zegareczka liczy puls. Basi jednak coraz gorzej, policzki ma takie czerwone, a oczy zupełnie „maślane" — opowiada coś pannie Marji i śmieje się głośno, a teraz znowu zaczęła płakać.

— Moje dziecko, twoja siostra ma tyfus napewno i prawdopodobnie zapalenie płuc, więc mowy być nie może o drodze, nawet pociągiem nie mogłaby jechać, a cóż dopiero pieszo 18 kilometrów. Zostaniesz na święta tutaj, a mama przyjedzie do was, najlepiej byłoby, żeby Basię przyjęli do szpitala, ale nie wiem czy się uda, bo wszędzie takie przepełnienie na podłodze leżą chorzy, spróbuję zatelefonować do ojca.

Panna Marja wyszła i Marek zbliża się do Basi, ta coś szepcze do siebie, ale za chwilę oczy jej stają się bardziej „swoje".

— Mareczku, idź do mamy i powiedz jej, że jestem bardzo chora, powiedz mamie... głos jej urywa się zduszony płaczem — ja może umrę, ot i święta, ot i gwiazdka...

Ale Marka nie wzrusza ton siostry, zawsze przesada... te baby — głowa boli i już zaraz — umrę. — Dziś trzeba o choince i o wigilji myśleć, nie o śmierci.

— Basiu, a gdzie zabawki?

W plecaku, wyjm moje książki.

Basia nie dziwi się, że Marek wie o zabawkach i Marek spiesznie otwiera Basiny plecak: książki, sukienka, sweter dla mamy i pończochy dla niego, to miały być prezenty pod choinkę — myśli Marek. — Oj Basiu, poco ty chorujesz — mam i ja coś dla ciebie — robi w myśli uwagę.

— Zabiorę twój plecak — dobrze?

Ale Basia coś znowu liczy na kołdrze, więc Marek prędko upakowuje torbę według swego widzimisię i zarzuca na plecy.

— Basiu idę, bo już szarzeje.

Basia otwiera oczy.

— Bój się Boga, Marku, zbłądzisz — gdzie ty pójdziesz sam? idź do bursy.

— Chłopcy będą śmiać się ze mnie — i ja zresztą chcę do mamy.

— Ależ mama przyjedzie.

— Ale to już nie będzie wigilja i choinka.

— Taki śnieg! — wpadniesz gdzie w zaspę.

— Pójdę cały czas torem.

— A koło lasu?

— I tam przejdę! — Co ty myślisz? na wiosnę przecież kończę dziesięć lat — myślisz, że taka baba ze mnie?

Marek gotów się kłócić z siostrą, ale Basia przytuliła go mocno do siebie i całuje w czoło, usta ma takie rozpalone i szorstkie, że Markowi żal się jej robi, całuje jej ręce:

— Nie martw się, Basinko — dojdę, a jutro mama tu będzie — zobaczysz, — gładzi jej włosy.

— Gdzie ten się wybiera? — pyta znienacka panna Marja — nawet nie słyszeli, jak weszła.

— Do mamy! — odpowiada z uporem w głosie Marek:

— Piechotą?

— Tak!

— Oj smyku! — smyku — kiwa głową — wyjmuje z torebki kilka drobnych pieniążków i daje Markowi: — Masz na bilet.

— Pociąg dziś już nie pójdzie.

— No to weź tak, przydadzą ci, się.

— Dziękuję, mnie nie potrzeba! — ale widząc urażoną minę panny Marji, dodaje pojednawczo: — Może Basi będą potrzebniejsze?

Ale Basia znowu zapadła w pólsen i przebiera palcami po kołdrze jakby grała, po chwili szepcze: pić!

Panna Marja wychodzi, a Marek korzystając z chwili zapina rzemienie plecaka, całując Basię, wsuwa otrzymane pieniążki pod poduszkę i wychodzi szybko — przy zamykaniu drzwi jeszcze słyszy głos Basi — tam koło lasu zaspa z lewej — i kaszel.

— — — — — — — — — — —

Na ulicach już zaczynają zapalać lampy, wystawy oświetlone. Marek szybkim krokiem pędzi w stronę fortu tam, gdzie jest przejście na tor, tu bliżej kolejarze zatrzymują; szczęśliwie mija argusowe oczy dróżników i po bezkresnym białym szlaku, przeciętym podwójnie wężami szyn, sunie się szara istotka do „domu"; do mamy".

Gwiazdy zapalają się jedna po drugiej, Marek się cieszy, budki dróżników migają tylko przed oczyma, tak niedawno była 312, a już 322 — jeszcze siedem, — i las; i będzie w domu. Zaraz będzie most, tam zwykle z Basią odpoczywał, ale on nie będzie odpoczywał, nie baba! Wtem robi się coraz ciemniej, zaczyna prószyć coś drobnego. Marek sam nie wie, czy to deszcz, czy śnieg, lecz idzie. Idzie ciągle naprzód; choć plecak robi się dziwnie ciężki, a książki przez płaszcz uwierają w plecy. Prawy but dziurawy, więc nabrało się śniegu, Marek siada na chwilę, żeby go choć przez dziurę wygarnąć, jest taki zmęczony, głodny od śniadania i taki senny — To jednak dziwne — myśli — z Basią szliśmy zawsze jakoś krócej, pewno dlatego, że Basia w drodze zawsze opowiadała bajki, skąd ona umie tyle i kiedy ja będę w domu? Ta myśl każe mu wstać i iść dalej. Nogi takie ciężkie. Plecak waży napewno dziesiątki kilogramów, ale Marek sunie naprzód i zachęca siebie: Do mamy! — już niedługo! — tylko jedna budka, a potem tylko las i zaspa nad rowem z lewej, pamiętać o niej, ostrzega sam siebie.

W lesie jest cicho, nawet śnieg trochę ustał, ale Marek już nie idzie, tylko się wlecze. Przed oczyma migają mu twarze mamusi, Basi, to znowu pani i panny Marji, coś mówią, ale Marek nie może zrozumieć co; bo w uszach dzwoni. I raptem widzi siebie w ciepłym pokoju przy dużej do sufitu choince, tak dużo dzieci, ale nie z bursy, a przy choince zapala świeczki jakiś pan — ach to tatuś! — cieszy się Marek i poco ja śniłem, że idę lasem? — tak dobrze w Adamowie! — Marek chce objąć ojca, więc wyciąga ręce i... przytomnieje! Niema tatusia, ani Adamowa, ani choinki do sufitu! — jest tylko droga i las ciemny. Marek stara się przyspieszyć kroku, już las się przerzedza, o, to „borowinowa altanka", za chwilę będzie „rydzowa polanka", potem już tylko kawałek drogi i dom! — Dom i mama, i Marek widzi w myślach ten swój teraźniejszy dom, już się wcale nie orjentuje w drodze, nogi same go niosą, a w oczach pełno ma światła z lampy, z zapalonych na choince świeczek i ze spojrzenia mamy.

Wtem rozległ się trzask suchej gałązki i gdzieś z boku, daleko błysnęło światełko. Marek oprzytomniał nagle.

— Wilk?...

Światło nie gaśnie, lecz ciągle się zbliża, teraz już widzi je wyraźnie z prawej strony.

— Wilk! — wilk napewno!

Marek już wcale nie czuje zmęczenia, pędzi jakby mu skrzydła urosły, pędzi naoślep, byle prędzej, byle prędzej. A światełka posuwają się za nim coraz bliżej — tuż, tuż odezwało się głuche warknięcie, Marek skoczył... i z głuchym krzykiem „mamo" zaczął spadać głową w dół, tonąc coraz głębiej w zimnem lecz sypkiem i miękkiem posłaniu.

A niedaleko, w domu za lasem czekała mama na dwoje dzieci z wieczerzą.

— — — — — — — — — — —

Zapanowała cisza! — tylko świeczki na choince, dopalając się, trzaskiem spalonych gałązek, przerywały milczenie, — pierwsza poruszyła się Ina.

— I nikt nie wydobył tego chłopca z zaspy?

— Czy zamarzł? — dorzuciła Irka.

— Biedne — biedne dziecko! szepnęła pani Wirska.

— To takie smutne! — dodała Jaga.

— Smutne? — Bohuś roześmiał się wesoło. — Smutne? — powtórzył — a ja uważam, że najweselsze pod słońcem, bo siedzę tu z Wami, patrzę się na palące świeczki, przed chwilą zjedliśmy tradycyjne dwanaście potraw, a najgłówniejsze, bo lichtarzyki kupiłem za własne, najrodzeńsze z rodzonych, bo zarobione pieniądze i moją jedyną najmilszą matuśkę mam przy sobie i u siebie, czyż to nie szczęście?

— Więc to ty byłeś? — posypały się pytania.

— A cóż myślicie, że utonąłem? i duchem jestem tu z wami? — nie. Za mną szedł kominiarz Bajka z psem i świecił latarką. Starał się być cicho, bo, ponieważ miałem na sobie szary płaszcz i ojca białą barankową czapkę, nie mógł wyrozumieć, co się przed nim tak dziwnie, raz prędzej, raz wolniej posuwa. Ale gdy pies mnie zwęszył, a ja krzycząc wpadłem w zaspę, zorjentował się zaraz, że to któreś z dzieci miejscowej nauczycielki idzie do domu na święta. Wydobył mnie przy pomocy psa ze śniegu i zaniósł na rękach do mamy — pamiętasz matuś?

Pani Wirska w odpowiedzi przycisnęła do piersi głowę syna, szepcąc cicho przez łzy:

— Pamiętam, syneczku, był to cud.

Bohuś przytulił jej dłoń do swojej twarzy i, patrząc na migotliwe światło choinki, wyrzekł poważnie:

— Tak matuś — był to cud. — Bo cud był, że temu prześladowcy naszemu, bezbożnikowi i komuniście, gdy ocuciliście mnie, mateńka moja, żona Polaka bestjalsko zamordowanego przez jego kamratów, podała ze łzami w oczach opłatek, a ten zamiast bluźnąć przekleństwem, spuchniętemi od mrozu palcami przełamał niezgrabnie chleb święty, a z oczu po odmrożonej twarzy spłynęły dwie duże łzy — i on nie wstydził się tych łez. Tak matuś, był to cud, cud Miłosierdzia i Przebaczenia i Skruchy. Cud Wigilijny.

W. R. K.

NIE LUBIĘ PIÓR KOBIECYCH!

Bezapelacyjnie padły ważkie słowa z ust mego kolegi biurowego, w czasie przyjacielskiej pogawędki i przedarły zadymioną ciszę małej kawiarenki. „De gustibus..." odrzekłam pogodnie, przyzna Pan jednak, że w dzisiejszej polskiej literaturze pierwsze miejsce zajmują kobiety, że Dąbrowska, Gojawiczyńska i...

I w tym momencie stała się rzecz nieoczekiwana!

Kolega spojrzał na mnie pogardliwie, „kto? Dąbrowska? — nie znam".

I dalej już dyskusja potoczyła się w błyskawicznem tempie. Okazało się, że mój rozmówca oprócz wymienionych autorek, nie zna również Rygier Nałkowskiej i Szelburg - Zarembiny, że obce są mu najzupełniej nazwiska Szemplińskiej i Kossak Szczuckiej, natomiast czytał „Dzikuskę", wpadł mu kiedyś w rękę tomik Łuczyńskiej, a z młodzieńczych lat wspomina smętne dzieje „Trędowatej" i niezłomną wierność Waldemara Michorowskiego. Po tych wszystkich, przelotnie przeczytanych tworach nabrał zdecydowanego uprzedzenia i wstrętu do piór kobiecych. Dzisiejszych, głośnych autorek nie czyta, dla właśnie wyżej wymienionej przyczyny. Słyszał, owszem, coś o Krzywickiej i reportażach Melcer Sztekerowej, ale to jego opinji o piszących kobietach nie poprawiło. Uczułam się bezbronna wobec faktu zgnotynowania dyskusji i nieznajomością przemiotu. I cóż tu mówić, jak wytłomaczyć wartość „Granicy" Rygier Nałkowskiej czy urok „Ziemi Elżbiety" Gojawiczyńskiej, komuś, komu utkwiła w pamięci „Dzikuska" i stała się symbolem twórczości kobiet. Jak przełamać niechęć i upór, jak zmusić do przeczytania i wydania sądu o szeregu świetnych utworów pióra kobiet?

Przypomniały mi się te wszystkie, nieraz w życiu spotykane scenki w wypożyczalniach książek. Uczeń, studencik, czy starszy pan, odsuwa z niechęcią podawaną książkę... „co? Szemplińska? ach! dziękuję; nie lubię piór kobiecych"! poczem bierze ów wróg kobiet, Wallace, czy Pitigrillego i wychodzi zadowolony, że się nie dał nabrać.

Zabawne to jest i trochę smutne. Że można się w życiu spotkać tak często ze świadomą ignorancją, że można usłyszeć zdania wypowiadane mocno i śmiało, a bez podstaw i przemyślenia. Że wreszcie, z takich właśnie, marnych, słabiutkich książeczek co tam kiedyś „wpadły w rękę" wyprowadza się (może tendencyjnie) sądy o całości literatury kobiecej.

Na zakończenie naszej rozmowy zaproponowałam zakład.



Ja według swego gustu wybiorę jedną z nowszych książek pióra znanej, współczesnej autorki. Kolega przeczyta, bezstronnie osądzi czy jest to rzecz „na poziomie". Wygraną stanowić będzie tabliczka czekolady, co nadawało odrazu całej historji znamię rzeczy niebylejakiej, zwłaszcza że do 1-go było jeszcze całe dziesięć dni.

Co wybrać? Cała literatura patrzy na mnie!

Czy kierować się gustem swoim, czy domniemanym męskim?

„Dnie i noce" czy „Dziewczęta z Nowolipek"?

Może „Kraj nieznany" Kossak Szczuckiej, a może tom poezji Jasnorzewskiej?

Jak tu wybrać jedną książkę?

No, ale wybrać trzeba było. Wybrałam!

Na biurku kolegi spoczęła dnia następnego „Ziemia Elżbiety" Gojawiczyńskiej i na dodatek „Ludzie stamtąd" Dąbrowskiej.

Czekałam sądu dzień jeden, drugi, trzeci.

Kolega chodził z miną Sfinksa.

Po tygodniu, znalazłam na biurku tabliczkę „gorzkiej" Wedlowskiej.

Zwycięstwo!

Ale „zwyciężony mężczyzna" miał w dalszym ciągu minę nie wróżącą nic dobrego.

„Panie Jerzy, jakże się cieszę, że przekonałam Pana"!

„No tak, oczywiście, to są rzeczy niezłe, naturalnie, lepsze od wielu książek, pisanych przez mężczyzn. Ale widzi Pani, jednak to wszystko jest takie jakieś „kobiece"!

O bogowie!

Czyżby to utracona pozycja „pana stworzenia" nasuwała już tylko ten ostatni, ten jedyny, jaki pozostał, argument!

„Takie kobiece" — komunalik nic nie mówiący, a stwarzający pozory, że ukrywa w sobie jakiś ważki zarzut.

Dopiero teraz czuję napewno, że wygrałam, że przeciwnik został dokładnie przekonany, nawet poprostu zmiażdżony. Czekolada — to nic! Dopiero teraz, gdy już padł ten programowy zarzut „kobiecości", ten wykrętny strzał w próżnię, niebacznie właśnie odsłaniający pełne uznanie!

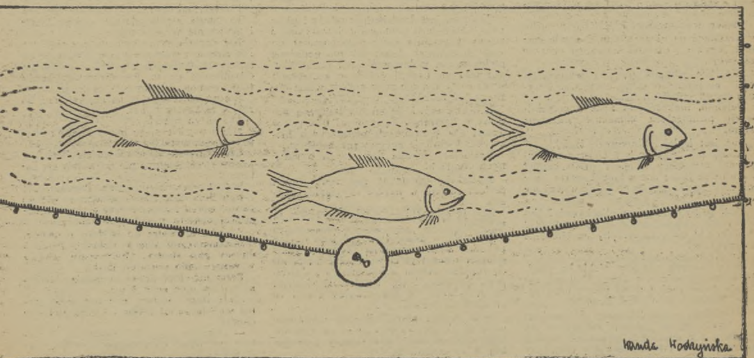
I tylko jeszcze jedno!... Co to właściwie znaczy określenie „kobiece" w zastosowaniu do literatury?

Czy Dąbrowska pisze po męsku, czy po kobiecemu? A może „kobiece pióro" to właśnie Grubiński, czy może koniecznie Krzywicka? A jak pisze Iwaszkiewicz, a jak Kaden, a jak Szemplińska?

I czy na miłość Boską, nie prościej i nie logiczniej przestać wojować ogranemi do obrzydliwości argumentami, czy nie lepiej określać książki poprostu słowami „napisana z talentem" lub „bez talentu"?

Ewa Karska.

Torebka na serwetkę do stołu.



ON I JEGO KOBIETY

„On".

Pan Stanisław Burka chodzi po swoim gabinecie. Tam i z powrotem. Od okna do tapczana. Przy tapczanie robi półobrót i znowu od tapczana maszeruje do okna.

Jest wściekle zdenerwowany i roztrzęsiony.

Neurasteniczny stan musi odbić się na jego głosie. Na jego głosie, który powinien być przez to otoczenie szanowany i owijany w watę spokoju!

Ale oczywiście w tem wielkiem mieszkaniu nikt o niego nie dba.

Żona robi mu wyrzuty i urządza mu histeryczne płacze. Usposabia źle dzieci przeciwko rodzonemu ojcu i buntuje je. Dzieciaki trzymają stronę matki, widząc w niej jakąś „ofiarę losu".

Baśka uśmiecha się krytycznie i zaczyna być w stosunku do niego jakaś „dziwna" i... daleka.

Kto jej dał prawo sądzić go? Smarkata! Nie zna życia i rezonuje jak ślepy o kolorach.

Pan Stanisław Burka dygocze z irytacji. Pulsują mu skronie, nadmiernie szybko i nierówno skacze puls.

Okropność!

Trzeba rozpiąć kołnierzyk i roztwierając szeroko usta zajrzeć w lusterko. Stanowczo gardło jest zlekka obrzmiałe i silnie zaczerwienione!

Oh! Ta cała rodzina doprowadzi go do utraty głosu! Do rozpaczy! Do samobójstwa! Do warjactwa!

Tragiczny gest w stronę szuflady z rewolwerem.

Ponure i błędne zatoczenie oczami przed lustrem.

I raptowny bezwład pozy.

Tak. Nikt przecież tej gry nie widzi. Niewarto więc samemu przed sobą wyżywać się i denerwować.

Spokój... Odpoczynek... Tapczan.

Ciężkie ciało wpada w głębię elastycznie uginającą się i miękką. Coś zawadza pod lewem kolanem. Coś twardego! Co to może być? Scyzoryk.

Scyzoryk Józka!

Naturalnie ten smarkacz nic sobie nie robi z zakazów ojca i bawi się w jego gabinecie!

Piękne wychowanie!

Krzyknąć na niego głośno. Na całe gardło! Niech się dzieciak zlęknie i oberwie za swoje.

Nie. Nie wypada po tem wszystkiem robić awantury o takie głupstwo. Przytem krzyk mógłby zaszkodzić.

Pulchna, biało-różowa ręka o połyskliwych paznogciach obmacuje starannie krtań.

Już jest lepiej... Stanowczo lepiej.

Ażeby tak teraz wyjść? Uciec z tej tragicznej atmosfery swojego mieszkania? Zanocować jedną noc u kolegi tenora i nastraszyć ich, że się do nich już więcej nie wróci?

Może to by nareszcie poskutkowało? Helenka oduczyła się robić sceny zazdrości? A dzieciaki nie rozrzucałyby na otomanie scyzoryków?

Któraż to godzina?

Złoty zegarek pokryty niebieską emalją wskazuje zaledwie ósmą. Godzina zupełnie dopuszczalna przez formy towarzyskie. Możnaby odwiedzić Renę.

Należałoby zmienić krawat. Ale po krawat trzeba iść do sypialni. Zmięły się też spodnie. Ale o zmianie garnituru myśleć nie wypada w momencie, kiedy chciałoby się uchodzić w oczach rodziny za człowieka bliskiego furji, obłąkania, lub samobójstwa!

Jakże go oni krępują w jego własnem mieszkaniu! Za grosz mu nie dają swobody! Ale on i tak da sobie radę. Poczesze się przed lustrem wiszącem nad kominkiem, obciągnie ubranie i pójdzie... do Reniusi.

Tę dziewczynę zna przeszło od roku i jeszcze mu się ona nie sprzykrzyła. Może dlatego, że jest taka wesoła, dowcipna, a jednocześnie taka trudna i niedostępna.

Królowa!

Każe się zdobywać! Otacza się szacunkiem! Umie się „postawić".

A jak się estetycznie ubiera!

A jaką serdecznością go otacza. Zawsze pyta o jego zdrowie, o jego głos! Chwali jego sposób gry! Jego umiejętność wystawiania się! Zachwyca się jego urodą! W samych superlatywach wyraża się o jego sposobie bycia!

Tu, w tym domu nikt się nim nie zachwyca tak, jak ona! Tu, w tym domu wszyscy tylko go krytykują i wciąż mu coś mają za złe!

Pan Stanisław Burka przyczesuje rzadkie, jasne włosy, lśniące i tu i tam łysą czaszką.

Jakiż on jest do dziś dnia młody i piękny. Oczy jego zachowały intensywność barwy. Klasyczny zarys nosa pozostał ten sam co dawniej. Jeżeli tak oto podniesie głowę to nie widać wcale ani podbródka, ani fałd na karku! Jeżeli w ten sposób wyprostuje się, nie znać prawie wcale obfitego już brzucha.

Reniusia mówi, że on ma bajeczną budowę w kostjumie Torreadora! I że ma w Tosce, w jedwabnych pończochach niezwykle kształtnie zarysowane nogi!

Reniusia! Słodka dziewczyna o ślicznych oczętach!

Poznał ją rok temu, czy nawet przed półtora rokiem w bardzo oryginalny sposób.

Nim ją zobaczył — przedewszystkiem ją usłyszał!

Śpiewała w odnajętym od jego siostry pokoiku jakąś popularną piosenkę. Jakiś szlagier sezonowy! Dawała sobie z tem radę zupełnie czysto, z humorem i z dowcipem. Zaciekawił się. Powiedział siostrze, że ta kobieta ma fenomenalny głos i że on musi ją poznać.

— „Czy być może?" Siostra zainteresowała się tą sprawą bardzo żywo. Podreptała więc odrazu przez ciemny przedpokój, a on poszedł za nią.

Zapukali do małych drzwi i zaraz je otworzyli po usłyszeniu krótkiego: „proszę".

Jakaż była śmieszna w tej pierwszej chwili poznania — ta mała Reniusia...!

Klęczała na posadzce w kwiecistym fartuchu, obok ceratowego szezlonga, pastą zacierając podłogę. Ręce w bawełnianych rękawiczkach miała całe przetłuszczone i nie mogła ich podać przy powitaniu. Wskazała im tylko krzesła, aby usiedli.

Jedno gięte, wiedeńskie, wyplatane.

I drugie suto rzeźbione, pluszem kryte, z obłamaną poręczą.

Reniusia nie wydała mu się ładna ze swoją cerą błyszczącą i nierówną i figurą zbyt szczupłą.

Ale zachwyciła go ogromnym wdziękiem i tem, co potem oni oboje razem nazwali.

— „tiu... tiu.-, tiu,,,"

To „tiutiutiu" — to była pieszczotliwość niezwykła głosu, prawie dziecinny sposób wymawiania niektórych wyrazów, jakaś sepleniąca, a zarazem rozbrajająca przymilność i przypochlebność...

Obiecał jej wtedy wyrobić stypendjum w szkole śpiewu, w której był profesorem.

I dotrzymał słowa.

Kształciła się bezpłatnie w jego klasie i prywatnie w jego domu.

Nie chciała tylko cierpliwie uczyć się. Nie cierpiała solfege'u i gam. Rwała się do rzeczy za trudnych dla niej i nie miała cierpliwości na to, by opracować każdy takt zosobna, od nowa, z precyzją.

Ale nie mógł się o to na nią gniewać, bo robiła rozkoszne minki.

Ah! co za minki.

Minki pięcioletniego bąka! Minki rozkapryszonego kota!

Chciałoby się ją w takich chwilach poprostu zjeść. Ale ona nie pozwalała się całować!

Była trudna. Niedostępna. Interesująca!

Pan Stanisław Burka uśmiecha się do swoich myśli i zapominając o tragedji domowej otwiera drzwi przedpokoju.

Zdaleka dochodzą go odgłosy rozmowy.

Spazmatyczny szloch Helenki. Perswadujący głos siostry. Opanowany, piękny w zabarwieniu sopranik Baśki.

Przez uchylone drzwi zaglądają z jadalni wystraszone oczy Alusi.

„Mój Boże" wołają one bez słów „tatuś wkłada palto! I bierze kapelusz! I wychodzi!"

— „Czyżby odchodził nazawsze?!!" pytają już teraz wystraszone, ogromne, załzawione.

Pan Stanisław Burka udaje, że nie widzi dziecka. Groźnie marszczy brwi i ostentacyjnie odsuwa zatrzask.

— — — — — — — — — — —

— „Czy jest pani doktorowa?"
— „Nie. Pani niema".
— „To ja poczekam".
— „Proszę pana".

Służąca siostry zdejmuje z niego palto. Odbiera od niego kapelusz. Zapala światło w salonie i wreszcie ginie w zakamarkach rozległego mieszkania.

Ten pierwszy pokój na prawo z przedpokoju odnajmuje oficer. Ten drugi pokój (dawną poczekalnię) odnajmuje stara nauczycielka. A ten na lewo (dawny gabinet szwagra) Reniusia.

Naturalnie kochana dziewuszka jest w domu. Mówiła mu przecież, że ma jeszcze piętnaście stron przepisać na maszynie. Więc musi być w domu!

Biedactwo! Pracuje ciężko i nigdy nie narzeka! Zawsze jest uśmiechnięta i miła. Jakże będzie uszczęśliwiona, jak go zobaczy na progu!

Pan Stanisław Burka przechodzi przez przedpokój.

Nie słychać suchego stukotu maszyny do pisania i nie widać światła przez matową szybę drzwi.

Czyżby Reniusia już spała o tej porze? Nie. Reniusi niema w domu.

Pukanie. Szamotanie za klamkę. Cisza. Niema jej w domu! Widocznie koleżanka po nią przyszła i zabrała ją do kina. Albo która z ciotek ją wzięła do siebie na kolację.

Ktoś z klucza otwiera drzwi frontowe. To ta stara nauczycielka z ufarbowanemi na czarno włosami.

— „Dzień dobry panu".
— „Dobry wieczór Szanownej Pani.. Jakże zdrowie?"
— „Dziękuję, dobrze: tylko kaszel mi dokucza, jak to zwykle na jesieni. Te zmiany temperatury".
— „Tak.. tak. Ciągle pada..."
— „Niech pan o siebie dba, bo grypa panuje... I to grypa z komplikacjami".
— „Co pani mówi? Grypa? Z komplikacjami?!"
— „A tak... tak. A co u pana słychać?"
— „Ano nie zastałem siostry..."
— „A... pani doktorowa miała być u państwa. Wogóle cały dom wyszedł. Panna Zawadzka poszła do kina z porucznikiem, ja na lekcję, a służąca do magla! Tu wogóle nigdy w domu nikogo niema. Jeszcze kiedy złodzieje przyjdą i okradną!"
— „Tak... rzeczywiście mogą okraść!..: Tylko, że przecież niezawsze wszyscy z domu wychodzą..."
— „No prawie zawsze. Nie chcę być złośliwa, ale siostra szanownego pana to lubi wizytki, znajomości, i tu i tam wpaść, pogawędzić".
— „No ale panna Renia przecież pracuje?"
— „Panna Zawadzka? Ano stuka z godzinę dziennie na tej maszynie, albo i ze dwie, rano. Ale wieczorami nigdy jej niema. Młode to — to nawet niema się jej co i dziwić! Biega po tych kinach i dancingach z młodymi ludźmi. Szkoda tylko, że ciągle z kim innym".
— „Dowidzenia pani". On nakłada palto.
— „Nie będzie pan czekał na panią doktorowa?"
— „Nie!" wykrzykuje z nagłą furją pan Burka. „Nie będę czekał!" I wychodzi.

J. Surynowa - Wyczółkowska.

ELEMENTARZ

— I-igła, u-ucho, o-oko, a-anioł...

— Moja Inko, kiebyś tyż popróbowała z tym oślakiem — drugi rok to w klasie siedzi i ani nie ślabizuje.

Jak góra sadła stoi Stefanowa, złożywszy grube, czerwone ręce na obwisłym brzuchu. Józka, jakby przygnieciona zwalista postacią matki, wydaje się jeszcze mniejsza. Tłuste rude kosmyki, splecione twardo w mysi ogonek. Rude, wyraźne piegi na rozlanej twarzy. Maślane, wodniste oczy. Nawet w tej chwili strachu niema w nich żadnego wyrazu.

Inka patrzy poza nią. W zielony, roześmiany, cudowny świat. Niechętnie obraca wzrok na małe stworzenie.

Koło skroni Józki, pod lepkiemi kępkami włosów czerwony ślad. Sinawa plama pod okiem. Palce, zaciśnięte mocno na okładce elementarza, drgają nerwowo. Spod rękawa przykrótkiej sukienki wygląda wielki, krwawo nabiegły placek.

— Dobrze — mówi ciężko Inka. Jakże zielony, roześmiany, cudowny jest świat. Na zatłuszczonych kartkach elementarza gasną oczy.

— Ale czy przejdzie? Już przecie maj!

— E, to ta nie o to chodzi... niechby ino choć trochę utrefiła... Skaranie boskie z tym bachorem!

Wielka twarz napływa purpurą. Potężna pierś wznosi westchnienie. Czerwone, okrągłe, jak kiełbaski paluchy, boleśnie szarpiąc, poprawiają szmatkę u końca mysiego ogonka. Piegi na twarzy Józki stają się wyraźniejsze. Jest biała jak wapno. Prędko, prędko drgają palce, wpijając się w bronzową okładkę. Inka pociąga dziewczynkę za rękaw.

— Chodź, Józka. Siądziemy sobie tu, pod orzechem.

Stefanowa odchodzi, kołysząc kiecką, jak olbrzymim dzwonem. Za chwilę słychać wrzask małej Wikty, grzmoconej kuchenną warząchwią. Józka nasłuchuje, i wąziutki mściwy uśmiech wykrzywia jej wargi.

— Czytaj! — mówi ostro Inka.

Maślane, wodniste oczy patrzą bezmyślnie na brudną kartkę. Inka wskazuje palcem.

— To jest i — takie z kropeczką.

Maślane oczy patrzą niewidzącem spojrzeniem.

Gdzie jest i?

— I... i.:; i.:: — cicho szepcze do siebie Józka, podnosząc ku Ince ogłupiałą twarz.

— Takie z kropeckom...

— Pokażże je palcem, palcem pokaż na książce — Inka stara się mówić jak najwolniej, dobitnie i życzliwie.

Wątłe ramiona podnoszą się bezradnie.

— Przecie ci pokazuję, tu, przy tej igle, popatrzże!

— I-igła... u.:.ucho,;:

— Co za igła! Ja ci pokazuję i! to jest i!

Głos jest o ton za wysoki. Józka obronnym ruchem wznosi ręce. Rumieniec tak silny, że aż napędza łzy do oczu, oblewa Inkę.

— Słuchajże, głupia, ja cię nie będę bić! Tylko słuchaj, nauczysz się trochę i będzie dobrze. Nie będzie cię matka tłukła.

Wodniste oczy się podnoszą. Spękane wargi poruszają się bezgłośnie.

— Popatrz, to kółeczko to o, Takie okrąglutkie, jak obwarzanek z jarmarku. Widzisz?

Ruda głowa potakuje: — O... o..;

— Pokażże je palcem!

Nic.

— No, które? Okrąglutkie, jak obwarzanek. Takie kółeczko. Które to?

— A-anioł.

Inka bezradnie opuszcza ręce.

— Wiesz co, Józka, idź się teraz bawić. Popołudniu przyjdę, jak będziesz pasła krowy. Będziemy się uczyć.

Maślane oczy przez ramię spoglądają na dom. Potem nagłym ruchem Józka wciska Ince w rękę elementarz i rzuca się w bok, między sąsiedzkie stodoły. Pędzi tak, że podnosi się wysoko wytarta sukienka. W jaskrawem słońcu wyraźnie widać na chudych udach sine, podbiegłe krwią plamy.

Inka wchodzi do brudnej sieni. Z kuchni wygląda opasła twarz.

— No i co? Jak to będzie?

Jakże się nie chce o tem myśleć! Inka gwałtownie, usilnie przypomina sobie gałązkę kwitnącej czereśni. Jak żywa... Płateczki... Środek.:. czerwony nalot łodyżki. Ale spoza śnieżnego gronka kwiatów wychyla się — ruda głowa z czerwonym znakiem nad skronią.

— Stefanowo, wy jej nie bijcie. To wszystko przez to, ona się tak strasznie boi...

Niebezpieczne załamanie głosu. Podejrzana wilgoć wędruje gdzieś ze środka, od żołądka, aż do nasady nosa. Trudno, jak kto ma dopiero trzynaście lat...

— Moiściewy! — potężne łapy plaskają głośno. Bez bicie? Co też ty Inka mówisz najlepszego! Biciem się rozum do głowy napędza, głupotę wygania. A ino to takie uparte — bij i bij, nic nie wybijesz!

— Stefanowo, ja was chciałam prosić...

— Nic się nie bój, Inka! Ino mi powiedz. Jakby nie chciała przychodzić z alimentarzem, jakby się bontowała, ty mi ino powiedz. Tak jom wyryktuję, że ruski miesiąc popamięta.

Inka bezradnie wychodzi. W poszarzały maj. Tłustawą żółtością rozlewa się słońce po maślanem, wodnistem niebie. Wśród pyłu leżą kamienie, jak wielkie sińce.

Wanda Wasilewska.

Kim jest człowiek, ażeby ganił siewy Pana
i precz kąkol odzucał, że jest tylko kwiatem?
radość życia narówni z cierpieniem jest dana,
krew i słońce jednakim płoną nam szkarłatem.

Janina Prus.

E. Theobald.

W KRAINIE SMOKA

Chiny przedstawiają dla Europejczyka nie mniejszą zagadkę jak Japonja. Życie wewnętrzne, obyczaje, zwyczaje mieszkańców Krainy Smoka są nam mało znane. Kraj ten jednak zasługuje na bliższe poznanie, w tej samej mierze co Japonja, tembardziej, iż mimo pozornie wspólnych cech, są to dwa kontrastowe narody, o zupełnie odmiennej kulturze, innych obyczajach i zwyczajach.

Ewolucja, która nastąpiła w Japonji w stosunkowo krótkim czasie — tutaj — w Chinach — idzie uporcie żółwim krokiem.

Zarzucono coprawda warkocze i noszą włosy na jeża, zaś kobiety przyswoiły sobie fryzurę garsonki, jak również zaprzestały deformacji stopy i noszą dziś pantofelki na francuskich obcasach. Dalej reformatorzy podnieśli granicę wieku zamążpójścia z lat 13 do 16-stu. Reformie tej sprzeciwia się jednak sama natura; wczesne dojrzewanie i rozwój fizyczny Chinki, oraz szybkie przekwitanie urody.

Tak „na oko" zaszły zmiany w Krainie Smoka, lecz życie rodzinne i duchowe pozostało bez zmian.

Mężczyzna jest panem domu, zaś kobieta w swem upośledzeniu zniżona jest do roli służącej i niewolnicy. Obowiązkiem jej jest rodzić dzieci i wychowywać je. Bez względu na swój stan społeczny żona jest całkowicie podległa swemu mężowi i nawet wtedy, gdy nastąpi jego śmierć, nie odzyskuje swej wolności. Przed małżeństwem jest pod władzą rodziców, po zamążpójściu, męża — a jako wdowa podlega najstarszemu synowi, na którego władza przechodzi automatycznie po śmierci ojca. Nie wolno jej również wstąpić w powtórne związki małżeńskie. O ile żona jest bezpłodną, niemoralnie się prowadzi, nie może wykonywać swych obowiązków naskutek choroby, lub popełnia czyn hańbiący nazwisko męża, wreszcie, gdy grzeszy gwałtownością języka, przysługuje mężowi prawo do rozwodu.

Najciekawszą jednak dziedziną obserwacji Europejczyka jest jakoby zlegalizowana instytucja małżeńska, składająca się z dwóch — trzech kobiet, ponieważ mąż znudzony jedną żoną wprowadza coraz to młodsze oblubienice pod swój dach w charakterze służących. Kobiety, mieszkające pod jednym dachem, cieszące się względami jednego mężczyzny i mające z nim wspólnie kilka tuzinów dzieci, żyją ze sobą w zupełnej zgodzie i harmonji.

Do dziś dnia zachował się zwyczaj niezwykłego kultu pielęgnowania paznokci. Chińscy bogacze i dostojnicy dochodzą pod tym względem do niezwykłej doskonałości. Zapuszczają paznokcie nie rzadko dochodzące do 30 cm, które okręcają się w spirale, a w celu ich ochrony używają specjalnych futerałów, misternie ze złota lub srebra wykonanych. Owa ozdoba ma być oznaką bogactwa oraz dowodem, że właściciel tak starannie wyhodowanych paznogci jest człowiekiem, mogącym się oddać nierobstwu i że inni za niego pracują, on sam zaś należy do wyższego stanu i nie kala się pracą rąk.

Ruch na ulicach miast chińskich jest bardzo ożywiony, chaotyczny i pod względem utrzymania porządku pozostawia wiele do życzenia. Sklepy chińskie i warsztaty wychodzą bezpośrednio na ulice i są otwarte naoścież, tak, że wszystko dzieje się w nich na widoku publicznym.

Dziwne też odnosi się wrażenie, idąc ulicami miasta chińskiego, szczególnie w dzielnicach handlowych. Wszędzie napisy i napisy. Ulice poprostu toną w powodzi napisów. Cały las napisów zawieszonych w pośrodku ulicy między dwoma szeregami sklepów. Zdaleka wygląda to na procesję z chorągwiami. Napisy te są różnokolorowe i wycięte w kształt ryb, węży, księżyców, smoków i t. p. A wszędzie panuje niemożliwy wrzask i tłok.

W tłok ten wjeżdża co chwila riksza i w kłębowisko ludzkie wpada zniecierpliwiony głos kulisa bau... go... o! (baczność).

Wprost nie do uwierzenia, ile tu ich jest. Poprostu ma się wrażenie, że jedna połowa mieszkańców wozi drugą w dwukółkach. W samym tylko Szanghaju jest zarejestrowanych 15 tysięcy riksz i z górą 40 tysięcy kulisów. Cała armja. Prawdę mówiąc, bez riksz, kulisów i napisów, miasta chińskie straciłyby swój koloryt.

Domy budują Chińczycy głównie z cegły, którą się wszędzie wyrabia. Są one szaro-niebieskawe, tej samej barwy, co suknie ludu. Na wsi budują chaty z gliny na ceglanych fundamentach. Nagół lepianki te są budowane bardzo niedbale, nic też dziwnego, że ulewne deszcze tysiącami spłókują te budy z powierzchni ziemi. Wogóle wieś chińska jest stale na pół w ruinie.

Ciekawą rzeczą jest, że Chińczycy, naród tak praktyczny i tak rządzący się busolą, iż mówi o „bólach po wschodniej stronie żołądka", nie zwracają najmniejszej uwagi na regularność przy budowaniu miast czy osad. Mury miejskie, któremi okrążone jest każde miasto i każdy prawie dom, mają stanowić czworobok, w rzeczywistości jednak, dalekie są od tego kształtu. Charakteryzują je dziwaczne krzywizny, które powstały na tle zabobonów i przesądów. Tak, między innemi bramy miasta czy osady nie mogą znajdować się wprost naprzeciw siebie, inaczej złe duchy miałyby swobodny dostęp i mogłyby opanować ulice.

Niema zapewne narodu na świecie, któryby tak namiętnie lubił teatr jak Chińczycy. Jednakże mimo całego zamiłowania Chińczyków do teatru zawód aktora jest u nich w pogardzie. Mówią, że powodem tego jest złe prowadzenie się aktorów, w rzeczywistości ta pogarda powszechna do aktorów ma swe źródło w nauce Konfucjusza, reformatora religji buddyjskiej, który teatr bezwzględnie potępia. Aktorami się w Chinach gardzi, lecz teatry są zawsze przepełnione. Budynki teatralne znajdują się tylko w większych miastach, nierzadko w sąsiedztwie domów publicznych. Teatry są przeważnie wędrowne i występują na scenach improwizowanych, podczas gdy publiczność siedzi na ławkach pod gołem niebem. Przedstawienia trwają przez cały dzień. Aktorów w sztuce niema, jest to nieskończony soliter luźnych scen. Prostota urządzeń teatralnych jest nadzwyczajna, dekoracji i maszynerji teatralnej prawie niema. Wszystko zostawia się domyślności słuchaczów i bujnej ich wyobraźni. Tak naprzykład, jenerał, otrzymawszy rozkaz wyjazdu do innego garnizonu, okrąża kilka razy scenę z biczem w ręku i po chwili staje i oświadcza, że już powrócił. W innej scenie, gdzie należy odtworzyć mur ochronny, kilku żołnierzy kładzie się jeden na drugiego i w ten sposób wyobrażają mur. Aktorzy ciągle się przebierają w coraz to inne barwne szaty, które są zastosowane do okoliczności chwili. Europejczyk nie tylko nie rozumie, co mówią aktorzy, lecz również nie rozumie akcji, rozgrywającej się na scenie. Jeśli do tego dodamy przerażającą muzykę, która ma zupełną autonomję i „interwenjuje" kiedy się jej spodoba, wspomagając „furioso" aktorów w scenach dramatycznych, dalej zbity tłum i zamieszanie, bez którego w teatrze chińskim obejść się nie może, pojmiemy łatwo, że europejski widz, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, opuszcza rozczarowany budę teatralną. Chińczyk tej obojętności dla sztuki teatralnej zupełnie zrozumieć nie może.

Wędrowne trupy teatralne odwiedzają nietylko miasta, miasteczka, lecz również większe osady, gdzie cieszą się nie mniejszem powodzeniem a nawet robią niezłe interesa kasowe. W niesłychanej monotonji życia wiejskiego, teatr jest cudem, jest największą i najmilszą atrakcją szalenie zmechanizowanego życia chińskiego. To też, jeżeli się w jakiejś wsi pojawi trupa teatralna, cała okolica wpada w zachwyt i ogromne podniecenie. Z odległych okolic przybywają gromady wieśniaków z zapasami żywności ze sprzętami kuchennemi, tuzinami dzieci i rozbijają obozowiska dookoła wsi i pozostają przez cały czas pobytu teatru. W okresie tym nawet szkoły są nieczynne, następują nieoficjalne wakacje, gdyż żaden uczeń w tym czasie do szkoły nie przybędzie.

Naogół Chińczycy są narodem trzeźwym, uprzejmym, oszczędnym, nadwyraz cierpliwym, lecz również mściwym. Wesołość stanowi rdzeń charakteru Chińczyka. Gdy go nie gnębią klęski żywiołowe, jest on zawsze, nawet przy najuciążliwszej pracy, zupełnie z losu zadowolony. Mimo też nędzy, wyzierającej prawie na każdym kroku, widać wszędzie uśmiechnięte twarze. Poprzestaje na małem i niewiele potrzebuje na swoje wyżywienie. W dziedzinie pracy panuje w Chinach olbrzymia konkurencja, co pozwala przedsiębiorcom na wyzysk, jakiego nie spotyka się na całym świecie. To też szczęśliwy jest ten, który ma możność zaspokojenia swojego głodu miską ryżu i kilkoma kubkami herbaty.

Utarte mniemanie, jakoby Chińczyk był ponury od wczesnej młodości do późnej starości, mija się zupełnie z prawdą, jak również wymysłem są legendy o wrodzonem okrucieństwie Chińczyków. Wprost przeciwnie, okrucieństwem białych możnaby nazwać sposób cywilizowania tych „śmiesznych skośnookich", noszących w sobie cywilizację tak starą, że wobec niej cywilizacja Zachodu jest dzieckiem w powijaku.

Postacie kobiece w utworach Żeromskiego

Poezją książek Żeromskiego, są ich postacie kobiece.

Dużo ich, każda pozornie inna, każda przedstawiająca inny świat ducha, inne środowisko, innego człowieka. W rzeczywistości tworzą one dwie grupy, mające wprawdzie i cechy wspólne, lecz różniące się zasadniczo.

Grupa pierwsza — to kobieta, stająca się człowiekiem.

Grupa druga — to kobieta człowiek.

Wyprowadzić można łatwo z tego podziału wniosek, że na stworzenie typu kobiety-człowieka trzeba było szeregu pokoleń kobiet, do człowieczeństwa dążących. I tak jest w istocie. Kolejność etapów jest tu widoczna, a nawet jaskrawa.

Szereg kobiet, które objęłam nazwą „dążących do człowieczeństwa", to garstka istnień dobrych i pięknych, rzuconych w tryby przetwórczej maszyny, zwanej życiem. Z miażdżących trybów wychodzą jedne zwycięskie, inne złamane.

Pierwociną zaledwie człowieka jest Tatjana z „Urody życia".

Poddaje się biernie fali nadchodzącej miłości. Z zamkniętemi oczyma daje się unosić żywiołowi całkowicie, do ostatniego strzępka myśli przepaja się miłością, by jako ostatnie, jedyne już wyjście znaleźć śmierć. Tragiczny kochanek — Piotr Rozłucki, wypełnił serce Polską i zabrakło w nim miejsca dla Tatjany.

Motyw odejścia od kochanej kobiety, dla celów nadewszystko ważnych i jedynych, powtarza się i w „Ludziach Bezdomnych" i w „Przepiórczce". Przyjmują go kobiety różnie, zależnie od stopnia rozwoju duchowego.

Tatjana walczy. Walczy najprymitywniejszemi środkami, jakie podsuwa jej nieokiełznana, namiętna natura. Walczy wzbudzaniem zazdrości, walczy plwaniem na sprawy Rozłuckiemu święte, przegrywa — i ginie.

Gdy od Doroty Smugoniowej odchodzi Przełęcki, popełnia ona tylko ten błąd psychologiczny, że nie poznaje istoty i celu kłamstw Przełęckiego, nie czyta między wierszami, widzi jaskrawy fakt, że ją okłamano, że ukochany człowiek spada z wyżyn ideału do poziomu kabotyna.

Smugoniowa wraca do męża i pracy. I zapewne można dyskutować o wartości społecznej odejścia Przełęckiego, można doszukać się w krzyku Smugoniowej nuty duchowego chamstwa, niemniej jednak przyznać trzeba, że zdała biedna kobiecina swój, pierwszy zapewne, egzamin życiowy. Zdała go nie z wynikiem celującym, jak Joasia w „Ludziach Bezdomnych", nie rozwikłała subtelności psychologicznych, lecz poprostu przecięła je twardą ręką prostego człowieka.

Coś się w niej jednak tam zbudziło, coś drgnęło, w bólu i rzekomej krzywdzie, rodził się człowiek.

W górne ideały Ryszarda Nienaskiego zapatrzyła się Xenia Granowska (Walka z Szatanem). Tak niełatwo było odrzucić razem ze szminką, tuszem i pachnącym urokiem paryskich sukien, wszystkie lekkie, nietrwałe, śmieszne radości życia.

Trzeba było nożem chirurga wedrzeć się, zatargać gdzieś tam w głębi, aż pod sercem. Wydobyć wstydliwie ukrywaną, zakłamywaną miłość i dobroć. Wyrwać z dna na wierzch wiarę w człowieka. Pojąć piękno twardego słowa „obowiązek", zrozumieć, że nędzarz to brat, że istnieje „wyrzeczenie się".

A jak się już to wszystko, niechętnie i powoli zrozumiało, trzeba było jeszcze zobaczyć Ryszarda we krwi, ręką „brata" wytoczonej.

I wtedy nie przekląć, nie załamać się, nie wyprzeć się tego, co już było, co już utrwaliło się w sercu.

Uszlachetnia nie radość życia, lecz cierpienie. Zrozumiała to i grottgerowska panienka, Salomea Brynicka, gdy w wiernych falach szumiącej rzeki spłynął i krótki sen o miłości i nieprzewartościowane złudzenia młodości, wraz z pańsko-wylęknionym uśmiechem księżnej-matki i sakiewką złota, którą zapłacono za miłość.

A najprawdziwiej i najboleśniej zrozumiała to Ewa Pobratymska, przeszedłszy całą gehennę fizycznego upadku, i w chwili śmierci odzyskując dawny, zapomniany uśmiech czystości.

Ewa, którą poznajemy śnieżnym kwiatem rzuconym między ludzi, Ewa, której psychika przechodzi karkołomne skoki, od najczystszego kochania, do zaspakajania najniższych instynktów. Ewa, która zabija, sprzedaje się i mówi cyniczne słowa, ...ta Ewa ma swój utajony kąt duszy, które nie śmiało tknąć życie, ani ludzie, gdzie króluje niekłamane piękno i tęsknota. Oddaje ludziom zewnętrzną swą istotę, szczelnie zamykając przed niemi najgłębiej utajone odczuwania.

Dusza Ewy otwiera się przed nami tylko czasem, w rozmowach z Jaśniachem, w najskrytszych tęsknotach za zamordowanem dzieckiem, by zabłysnąć dawną, młodą i czystą pięknością w chwili śmierci.

Od tych kobiet, tętniących życiem i spragnionych miłości, odbijają cokolwiek innym kolorytem dwie zbliżone do siebie postacie. Natalja Orszeńska (Ludzie Bezdomni) i Wanda Okszyńska (Przedwiośnie).

Natalja, to już nie żywiołowa namiętność, lecz zimna zmysłowość. To nie natura, lecz sztuka. Wątły podlotek z Przedwiośnia, zdradza te same cechy, w połączeniu z lekką skazą erotyczno-patologiczną.

To wszystko kobiety żyjące miłością, kobiety kochające siebie w miłości. Kobiety, które są tylko tłem, które pozostawione własnym siłom, mogą zginąć, które wnoszą w darze dużo serca, dużo impulsów, ale niezmiernie mało elementów duchowotwórczych i samodzielnego, krytycznego odczuwania.

Z wysiłków duszy i serca tych kobiet rodzi się cud, najdoskonalszy twór, Joasia Podborska.

W Joasi dał Żeromski cały swój ładunek tęsknoty za doskonałą kobietą, skrystalizowane marzenie, ucieleśniony sen o mądrości i pięknie. Wszystko co może być najlepszego w kobiecie i wszystko co chciałoby się w niej wiedzieć, jest rozsypane na kartach dzienniczka Joasi.

Jest tam samo doskonałe piękno, jest tam wszystko. I gorące, kochające ludzi serce, i żywa inteligencja, i wysoka kultura i pulsująca nuta społeczna, i zdrowy, nieomylny instynkt życia, który wskazuje na Judyma wybranego mężczyznę.

W chwili rozstania, cichy, „jedyny przed obliczem Boga" płacz Joasi, jest stokroć tragiczniejszy, niż paroksyzmy rozpaczy Tatjany, lub krzyk Smugoniowej.

Bo i cóż mogła mieć w tej chwili Joasia do powiedzenia Judymowi? Co było do powiedzenia człowiekowi, który bał się, że utonie w radości życia, że przy ukochanej kobiecie zapomni o nędzy ludzkiej, że już nie potrafi oddać się jej bez reszty? Który czuje, że musi zostać sam, że nie wolno mu mieć żadnej rzeczy, którąby ukochał.



Najbardziej świadoma i bohaterska rezygnacja, podnoszą Joasię na wyżyny najdoskonalszego człowieczeństwa.

W Joasię może przerodziłaby się kiedyś Karusia Szarłatowiczówna, (Przedwiośnie), gdyby zdążyła rozpromienić się miłością, a skrzepnąć w sobie i dojrzeć duchowo.

A może to właśnie ta sama Joasia, umierała potem w wiejskiej nędznej chałupie, w płomieniach tyfusu, pod imieniem panny Stanisławy, w spadku po sobie zostawiając garść nędznych szmatek i... „Fizykę dla ludu". Może to ten sam Judym pochylał się nad trupem „Siłaczki".

Joasia — Stanisława — dwa doskonale, uzupełniające się akordy, harmonijne i głębokie.

Spłynęły cienie z kart książek Żeromskiego...

Czarna sukienka Salusi Brynickiej otula wiotką, grottgerowską panienkę. Lśni łzami gruzińska czerń oczu Tatjany. Z pod ronda aksamitnego kapelusza profil Xeni Granowskiej.

Rozpaczliwy szloch Doroty Smugoniowej, ostatni krzyk skaczącej w przepaść Heleny de With i dziewczę z polskiego dworu — Karusia.

I bielejąca, tak jak wtedy, w godzinę rozstania, pod sosną rozdartą, twarz Joasi Podborskiej, i ostatnie jej słowa... „Szczęść ci Boże".

Wszystkie są takie piękne... i wszystkie są takie smutne...

Ewa Karska.

WIECZOROWE SUKNIE DLA PANIENEK



524 pp. Suknia z bladożółtego jedwabiu, przód przybrany kwiatami, w odcieniach lila i fjołkowym.

525 pp. Sukienka z seledynowego jedwabiu lub tafty. Kołnierzyk - szarfa ze srebrnej lamy.

526 pp. Niebieska z matowego jedwabiu sukienka, od pasa czarna aksamitka, kwiat z czarnego aksamitu.

TANIE FORMY BIBUŁKOWE. Administracja „Praktycznej Pani" wysyła na zamówienie, po otrzymaniu należytości i na koszty przesyłki, kwoty 30 gr., formy bibułkowe wszystkich modeli, umieszczonych w tygodniku. Ceny wykroi są następujące: bluzka, kamizelka, bielizna, spódnica, garderoba dziecięca — po 1 zł.; suknia, pyjama, szlafrok, kostjum, płaszcz — po 1 zł. 50 gr. Celem zaoszczędzenia kosztów przesyłki pieniędzy i zamówienia, radzimy pieniądze przesłać pocztowym przekazem rozrachunkowym (w kolorze niebieskim, do nabycia w każdym Urzędzie Pocztowym w cenie 1 gr.). Na odwrocie przekazu umieścić zamówienie z podaniem numeru modelu z literą, np. 306 p. p., 308 p. p. i t. d., oraz jednej z następujących wielkości, dostosowanej do własnej figury:

I.	GORS (połowa)	44 cm.	— BIODRA	50 cm.	— DŁUGOŚĆ	118 cm.
II.	„ „	48 „	„	52 „	„	122 „
III.	„ „	50 „	„	60 „	„	222 „

Przekazy rozrachunkowe adresować: Administracja „Praktycznej Pani", Warszawa, Solec 87.

SKROMNE TUALETY WIECZOROWE



527 pp. Suknia z tafty mieniącej w barwach brunatnej i zielonej lub żółto-błękitnej. Kołnierzyk i pasek z lamy.





528 pp. Czarna suknia z matowego jedwabiu. Wyloty podbite białym albo bladoróżowym jedwabiem.
529 pp. Sukniaz rdzawego grubego jedwabiu.

Dziki kanarek i jego krewni

Nazwa kanarka pochodzi, jak wiadomo, od tego, że ptak ten żyje na wyspach kanaryjskich. Gatunek ten nie jest jednak ograniczony tylko do wysp kanaryjskich, zupełnie bowiem takie same ptaki żyją na Maderze i Azorach a pozatem podobne i w Europie, jak się o tem przekonamy.

Chowane, klatkowe kanarki mało przypominają ptaki dzikie. Większość ptaków udomowionych i chowanych w niewoli traci z biegiem pokoleń ciemne barwiki w upierzeniu i to samo dzieje się też z kanarkiem. Jest on chowany i rozmnażany w niewoli zgórą 350 lat i wprawdzie nie stracił jeszcze całkiem wszystkich ciemnych barwików, lecz uległ silnemu zjaśnieniu. Wiemy, że ogromna większość kanarków klatkowych jest barwy jasno-żółtej, zwanej nawet „kanarkową". Ptak dziki ma następujące ubarwienie: samiec ma plecy zielono-żółte, czarno i szaro upstrzone, czoło i pasek nad okiem zielonawo-złote, boki szyi popielate; pierś zielonawo-żółtą w górnej części, a żółtawą niżej, brzuch białawy. Barki są zielone, lotki czarniawe, ogon brunatno-czarniawy. Samica ma wierzch brunatno - szary, czoło zielone, zresztą jest dość podobna do samca. Dziki kanarek jest nieco mniejszy od klatkowego. Pożywienie kanarka składa się z drobnych nasion, zieleniny i soczystych owoców, przedewszystkiem fig. Przez



Kulczyk.

cały rok gromadzi się w duże stada i tylko w okresie gniazdowania dzieli się na pary. Śpiew kanarka dzikiego nie różni się zasadniczo od śpiewu okazów klatkowych, lecz, zdaniem obserwatorów; wśród pięknej i bujnej przyrody robi dużo większe wrażenie.

W Afryce północnej (Marokko, Algier i Tunis) oraz w Europie południowej i umiarkowanej mieszka t. zw. kulczyk. Jest to tylko nieco odmienna forma geograficzna tego samego gatunku, który występuje na Kanarach. Nie jest on w całej Europie jednolity: spotykamy tu kilka form bardzo do siebie podobnych i różniących się między sobą znacznie mniej niż którakolwiek z nich od ściśle izolowanej na wyspach formy kanaryjskiej. Że jakiś gatunek rozpada się na podobne do siebie a jednak stale nieco różne formy, z których każda występuje na innym obszarze, jest w świecie zwierzęcym bardzo powszechne. Ogólnie biorąc, są formy europejskie trochę mniejsze od kanaryjskiej, a w upierzeniu ich barwa zielona występuje nieco intensywniej.

Kulczyk jest bardzo miłym, ruchliwym i ożywionym ptaszkiem. Śpiew jego wprawdzie nie dorównuje śpiewowi kanarków, jest jednak ładny. Gdybyśmy chowali razem kanarki i kulczyki, to będą się one ze sobą krzyżowały, co jest jednym z ważniejszych dowodów iż należą one do tego samego gatunku a różnice we wzroście i ubarwieniu są spowodowane tylko względami geograficznemi. Na wolności nie następuje krzyżowanie się kanarków i kulczyków, ponieważ te dwie formy nigdzie się nie spotykają.

Kulczyk jest z pochodzenia ptakiem południowym. Powoli jednak rozszerzył on znacznie pierwotne granice swej ojczyzny posuwając się ustawicznie ku północy. Takie zdobywanie coraz nowych obszarów gnieżdżenia się możemy w chwili obecnej obserwować u kilku innych gatunków ptaków w Polsce. W Europie środkowej posuwanie się kulczyka ku północy odbywało się w ten sposób: w roku 1818 gnieździły się te ptaki w Nadrenji południowej. W siedemnaście lat potem zaobserwowano pierwsze okazy koło miasta Hanau, a dopiero w r. 1883 koło Würzburga. Mniej więcej równocześnie posuwał się kulczyk i w innych okolicach. I tak około roku 1850 zaczął się gnieździć w okolicach Drezna, w r. 1866 koło Wrocławia a w dolinie Elstery, koło Gera, zaobserwowano pierwsze okazy próbujące się gnieździć w latach 1871—1873. Wkrótce potem, około roku 1880, doszedł już do Frankfurtu nad Odrą i do Berlina.

W Polsce kulczyk pojawił się przypuszczalnie w czwartem lub piątem dziesięcioleciu zeszłego wieku, gdyż stwierdzono jego gnieżdżenie się na Podkarpaciu w roku 1849. Wkrótce potem był już rozprzestrzeniony po całej prawie Małopolsce. W Ojcowie spostrzegli go pierwszy raz dwaj nasi znakomici ornitologowie i doskonali znawcy ptaków krajowych, Wodzicki i Taczanowski, w r. 1853. W dwadzieścia pięć lat potem już widziano go w okolicach Piotrkowa. Z braku dostatecznych wiadomości, nie można dokładnie stwierdzić, kiedy zaczął się gnieździć w okolicach Warszawy, w każdym razie mieszkał tu już w pierwszych latach tego stulecia. W chwili obecnej występuje on w Polsce w bardzo wielu miejscowościach, dochodząc aż do Bałtyku. Również w Prusach wschodnich wielokrotnie obserwowano gnieżdżące się kulczyki. W niektórych okolicach raz zagnieździwszy się, gnieździ się kulczyk tam już stale, z innych natomiast po pewnym czasie wynosi się



Kanarek.

całkowicie. U nas nigdzie nie występuje bardzo licznie a gdzieniegdzie można spotkać tylko pojedyncze pary rozrzucone na dużej przestrzeni. Na zimę kulczyk opuszcza nasz kraj, udając się do Afryki północnej.

Podobno mięso kulczyka jest bardzo smaczne. U nas oczywiście nikt go nie jada, jak wogóle drobnych ptaszków śpiewających, lecz w niektórych krajach południowo - europejskich uważają go za „zwierzynę" i polują na niego w celu zdobycia smacznej pieczeni.

Andrzej Dunajewski.

GOŃCY KRÓLOWEJ ZIMY

Czarnym welonem zmroku otulił się świat. W ciszy i pustce nocy wymęczone orgjami jesiennego wichru, wypoczywają drzewa. Leciutkiem drżeniem swych obnażonych ramion, znaczą powoli uchodzący czas. I w takiej jednej, zapadłej już w przeszłość godzinie, spadł z nieba na ziemię hufiec śnieżnobiałych gońców, królowej zimy. Spadł pierwszy śnieg!

Wirują drobne płatki, w swym wielkim pośpiechu wpadają jedne na drugie, wszak zanim jasny wstanie świt, taki je ogrom czeka pracy... Cichutko, bezszelestnie, z kojącą pieszczotą przypadają do nagich szkieletów drzew i w białe bandaże owijają ich rany, zadane chłostą huraganu. Wciskają się w każdą szczelinkę, wyżłobioną strugami deszczowych łez i miękkim puchem wyściełają bróździ stwardniałej z zimna ziemi.

Niepostrzeżenie blade spojrzenie świtu przedziera mrok, w cichej toni powietrza wirują ostatnie zapóźnione śnieżne motylki. Z ciężkim łopotem skrzydeł podrywają się wrony i przeciągłem krakaniem obwieszczają światu radosną nowinę. Spadł pierwszy śnieg!

W promieniach wschodzącego słońca blaskiem drogich kamieni mienią się wyniośle sterczące pióropusze drzew. Jaką dumą napawają je ich nowe szaty, któremi okryły swą brzydką, koszmarnie pokurczoną nagość.

Z poza szklanej szyby małego domku, na cudowne dzieło jednej nocy, spoglądają dwie pary oczu. I podczas gdy w jasnych, dziecięcych źrenicach wizje pięknie ulepionych bałwanów, śnieżnych kul, saneczek, zatliły ogniki radości i niecierpliwego pożądania, wyblakłe staruszki spojrzenie na moment ożywiło się falą wspomnień minionych zim. Było ich tak wiele i oto dzisiaj ten pierwszy spadły śnieg jeszcze jeden paciorek życia dorzucił do różańca jej dni.

Mieczysława Roszak-Jabłecka.

HONNY SOIT, QUI MAL Y PENSE

(Rzecz o damskiej pończosze i podwiązce).

Moda noszenia pończoch jest stosunkowo dość późnym w dziejach zwyczajem. Po raz pierwszy spotykamy się z nią w Rzymie, w ostatniem stuleciu przed Chr. Nie zrodziła się ona na tle konieczności natury klimatycznej, kobiety bowiem w krajach południowych nie mają potrzeby okrywania nóg, jeno wynikła z wszechwładnej wówczas chęci podobania się, wynikła z tego napozór paradoksalnego przekonania, że najwięcej nęci to, co jest niewidoczne: invisum maxime ducit. Rzecz jasna, że wygląd antycznej pończochy odbiegał w zupełności od dzisiejszego. Przypominał raczej wojskowe getry (guetres), różnica zaś polegała głównie na tem, że taśma, którą ówczesne damy owijały dokoła nóg, tak zwana fascia cruralis, (taśma łydkowa) była wyrabiana z delikatnych i nader pięknych materjałów kolorowych (białych i purpurowych), jakoteż w najrozmaitszych deseniach. Autorowie starożytni wspominają w swych dziełach, że cena takiej pary pończoch wahała się w granicach od 8 — 10 denarów (8 — 10 zł.). W zamęcie wypadków dziejowych zanikł potem ten zwyczaj: nagie nogi przykrywała jedynie długa suknia, czasami nawet nazbyt długa. Dopiero wiek XIV stanowi następny etap rozwojowy w tej dziedzinie, przyczem pozostaje w ścisłym związku z wzrostem przemysłu trykotowego, który w tym czasie zatacza coraz szersze kręgi. Ręczne wyroby ustąpiły szybko miejsca maszynowym. W nowym „kroju" pończochy występuje po raz pierwszy król Henryk II (1518 — 1588) na weselu swej siostry z ks. Savoyen. Boczny szew, uwidoczniony początkowo ze względów natury technicznej, zespalał bowiem obie połówki, staje się z czasem wymogiem estetycznym. Przyjęcie tego zwyczaju noszenia pończoch przez kobiety podziałało wprost rewolucyjnie na cały strój: powłóczysta suknia gwałtownie się skraca, gdyż nie potrzebuje, jak dotychczas, przykrywać nagich nóg. Tę rolę spełnia obecnie lepiej i piękniej pończocha, wzbogacając jednocześnie wiedzę szerokiego ogółu „męskiego" według słów ówczesnego kronikarza nowym, bardzo ważnym szczegółem: „...że kobiety mają nogi!". Nic dziw więc, że w pełnem uznaniu zasług tego nowego a miłego suplement de toilette, królowa Marja Węgierska (w. XVI) wydaje na „jego" cześć oficjalny bal; w alegorycznej sztuce, apoteozującej w przesadny nieco sposób znaczenie tego „wynalazku" bierze udział królowa sama ze swemi damami dworskiemi.

O popularyzowaniu się tej mody świadczy fakt, że już z końcem XVI-go wieku liczne są żale na panoszenie się niezwykłego zbytku w tym kierunku. Pojawia się zwyczaj noszenia reform złączonych nastałe z pończochą. Jedwabne pończochy zdobią jako pierwsze — nogi „dziewicy angielskiej", królowej Elżbiety. Z końcem XVI-go wieku staje się jedwabna pończocha częstem zjawiskiem w kołach arystokracji; jest nią tak zwana „fillet de Florence", aby wreszcie z początkiem XVIII-go wieku zawładnąć i masami. Cena zbytkownych, haftem wyszywanych pończoch, wynosiła 100 livres (ok. 36 zł.) Punktem szczytowym tych ekscentrycznych już zamierzeń na polu upiększania nogi stanowi epoka Ludwika XVI-go i czasów rewolucji (1795). Kobiety używały bądźto tak przezroczystych materjałów, że skóra doskonale przeświecała, wywołując (celowe zresztą) wrażenie nagiego ciała, bądźto rażąco jaskrawych kolorów, których zadaniem było sugerować oczy widza, przyczem drogie koronki i ozdoby ze srebra i złota dopełniały reszty nader skutecznie. Nie należy w tym związku i o tem zapomnieć, że suknie dam były przeważnie również przezroczyste, tak, że poprzez nie były widoczne pończochy i dessous (dość rzadko zresztą używane). Pierwsza małżonka Napoleona I-go Józefina miała 108 par jedwabnych pończoch, wyszywanych złotem i srebrem. Wśród haftów widniało i jej imię. Damy lubowały się w kolorze białym, choć z czasem każdy inny, jakoteż i wielość kolorów, były oznaką dobrego smaku; ponadto były pończochy jak i cała garderoba perfumowane i to indywidualnie. Ówczesna kobieta mówiła: L'odeur-ce moi. Gdy w połowie XIX-go wieku krótkie suknie zyskały prawo swojszczyzny w świecie mody, to tem samem zwrócono baczną uwagę na uwidocznioną i dostępną wzrokowi pończochę. Oprócz haftów cechują ją i malowanki, często symboliczne, a artyści wysilają się nad tem, aby nadać pończosze piętno oryginalne. Dopiero nowe wskazania higjeniczne wprowadziły zasadnicze zmiany, które z nieznacznemi różnicami są nam znane z współczesnego życia. Odpada więc niesmaczny dla naszego oka styl barokowo-rokokowy, dominuje prostota, która w pończosze widzi nie wabik, jeno klimatycznie konieczny szczegół, który wśród warunków odpowiednich zupełnie się usuwa. W ścisłym związku z pończochą i jej rolą pozostaje podwiązka, która jako przedmiot erotyczny ma również swe dzieje. Z czasem urasta ona do rzędu nader ważnego w życiu kobiety szczegółu, zwłaszcza od wieku XVII-go we Francji i Anglji. Świadczy o tem dosadnie jej wygląd, jakoteż umieszczane na niej napisy. Zależnie od charakteru kobiety, rzeczywistego lub udawanego, przyjmuje ona kształty węża, lwa, lisa i t. d. Napisy były w formie dwuwierszy, z których jeden znajdował się na lewej, drugi zaś na prawej podwiązce. Kilka takich aforyzmów podajemy dla przykładu: „La gloire est la récompense de la vertu-Au besoin on connoit l'ami" „Les filles traitables — Sont les plus aimable". Niektóre z tych napisów były bardzo śmiałe i nie możemy ich cytować. Stosunkowo „najłagodniejszym" z tej grupy jest następujący dwuwiersz: „Wo wir binden, wo wir glaenzen — Sind der Dame Landesgrenzen". Podwiązki te były przetykane złotem i srebrem, upstrzone brylantami i rubinami, a ponadto przymocowane były do nich obrazki lub fotografje osób kochanych. Szlachetny „rycerz" uważał za wysoki zaszczyt, jeśli mu danem było zapiąć lub rozpiąć podwiązkę swej Dulcynei. W Anglji nabrała podwiązka specjalnego „politycznego znaczenia" wskutek wypadku na dworze króla Edwarda III-go (1350). Na balu dworskim jedna z metres królewskich hr. Salisbury zgubiła swą podwiązkę. Król podniósł ją i z wielką gracją przypiął damie przy wtórze cichych śmiechów i dwuznacznych spojrzeń. Ale nie zbity tem z tropu król wypowiedział wtedy pamiętne słowa: „Honny soit qui mal y pense" (przeklętym niech będzie, kto ma przy tem złe myśli). Od tego czasu też datuje się ustanowienie „Orderu Błękitnej Podwiązki", jednego z najwyższych odznaczeń angielskich.

W nowszych czasach zatraciła podwiązka damska swe pierwotne znaczenie. Jest ona wyłącznie środkiem służącym do przytrzymywania pończochy i nic ponadto. Jako taka zaś ustępuje coraz więcej miejsca innym sposobom i środkom technicznym, bardziej higjenicznym, nie przeszkadzającym normalnemu obiegowi krwi.

Dr. L. Gutman.

Stół Wigilijny

Najlepsze dania, najsmaczniejsze torty i bakalje nie wystarczą, aby nadać wieczerzy charakter uroczysty, jaki jej nadać pragniemy. Ten ton specjalny, odróżniający dane przyjęcie, a choćby tylko skromny obiad, czy kolację, od zwykłych, codziennych, nadaje dopiero nakrycie. Dbała gospodyni bardzo małemi środkami potrafi zaznaczyć charakter danego posiłku, a przez to wnieść ton specjalny, świąteczny i uroczysty, co wcale nie jest równoznaczne z nudnym. Przeciwnie, podkreślony charakter święta wprowadza zwykle nastrój cieplejszy, zbliża ludzi i porusza w nich tkliwsze uczucia.

Choinka w jadalni jest sama przez się takim tonem, który nie wymaga już tego, aby coś na stole specjalnie święto podkreślało, nawet choinka ustawiona z boku. Mocniej zaznacza Boże Narodzenie jeśli i pośrodku stołu stoi malusieńkie drzewko, ale to nie jest warunkiem obowiązującym, a pomysłowa pani domu zawsze coś obmyśli, co charakter posiłku zaznaczy.

Ponieważ mam na myśli domy najskromniejsze, którym najtrudniej zdobyć się, czy na drzewko, czy na jakieś specjalne ozdoby, pomówię też o środkach najprostszych, najłatwiejszych, najtańszych. wzg

Na czystym białym obrusie ułożymy, np. na środku wieniec z iglastych gałązek, a w nim ustawimy salaterkę z makiem. Możemy gałązki rozłożyć symetrycznie na stole, poprzypinać do rogów obrusa i t. p. Gałązki można ozdobić kilku złotemi nitkami, albo posmarować gumą arabską i posypać grubym kwasem bornym. Można je przybrać rozskubaną cienko watą. Jeżeli tam, gdzie mieszkamy, o takie gałązki trudno, jest jeszcze inny sposób, którym zaznaczymy, że to przecież „Gwiazdka". Ze srebrnego papieru wytniemy równe kwadraciki o bokach na 8 lub 10 cm skleimy nakrzyż i takie ośmiopromienne gwiazdy położymy pod szklanki, albo pod masielniczkę sól czy salaterkę. Gwiazdki można zrobić wszystkie jednakowe, albo większe i mniejsze, byle równo odmierzone i obcięte. Można skrzyżować złoty papier ze srebrnym, srebrny z niebieskim lub zielonym, złoty z czerwonym i t. d.

Nie będziemy traktowały tych ozdób poważnie, ale jednak miłej sercu, jak coś chociażby skromnego i prostego podkreśli świąteczność wieczerzy.

M. S.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE



Na rynku księgarskim ukazały się jak zwykle w okresie Bożego Narodzenia, ciekawe książki gwiazdkowe. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie dało nam kilka powieści zajmujących i wartościowych, otrzymaliśmy je jednak tak późno, że nie wiem, czy nasze Czytelniczki będą z wiadomości o nich mogły skorzystać.

Dla chłopców od lat 10—14, ciekawą będzie niewątpliwie, nawpół detektywna powieść p. t. Zielony szaleniec M. Buyno-Arctowej. Druga książka tejże autorki opowiada w zajmujący sposób dzieje pewnej wsi zaniedbanej umysłowo i moralnie, która pod wpływem młodej nauczycielki i małej dziewczynki — znajdki otrząsa się z błędów i dąży do rozkwitu. Jedynym zarzutem, jaki można tej powiastce postawić, jest ten, że jak na dzisiejsze czasy jest mało demokratyczna, cnoty bowiem małej znajdki biorą źródło w jej pochodzeniu, co się w końcu powieści wyjaśnia.

Dwie powieści amerykańskie Zane'a Grey pisane właściwie dla dorosłych zainteresują jednak przedewszystkiem młodzież, szczególnie męską. Romantyczne dzieje „*Kwiatu Colorado*", będą stanowiły miłą i zajmującą lekturę. Jeszcze ładniejszy jest „Kanjon wielkich dębów", powieść nowoczesna, opisująca dzieje pewnego młodego Amerykanina, którego wojna wyrzuciła z bezmyślnego, wielkomiejskiego życia, i który już do niego wrócić nie chce. Ukochana jego Carley napróżno usiłuje zwabić go do Nowego Jorku z Arizony, dokąd pojechał na kurację i gdzie się pragnie osiedlić. Po długich walkach i zmaganiach miłość i silna wola młodzieńca zwyciężają.

Janina Porazińska, niezawodna autorka miłych i mądrych książeczek dała miłą, pełną optymizmu powiastkę z życia szkoły powszechnej p. t. „*Wesoła gromada*", którą dzieciaki od 10—12 lat przeczytają z przyjemnością.

Bardzo wartościową książeczkę dał inż. E. Porębski p. t. „*Samochód wychodzi z fabryki*". Chłopcy, którzy lubią samochody i przepadają za majsterką, zapoznają się w niej z całym procesem powstawania samochodu, opisanym w łatwy sposób powieściowy.

Nakoniec książeczka do malowania p. t. „Dzieci pracują" łączy w sobie kilka wartości. Nie dość, że da rozrywkę małym artystom, ale wdzięczne rysunki Norblina i tekst wierszowany mają oprócz swoistego wdzięku wartość pedagogiczną.

As.

PROSZĘ O GŁOS?

Namyślałam się długo odpisać, czy nie odpisywać na listy pań, które z małemi wyjątkami potępiły mnie kategorycznie i to nawet z tej strony, o której pisząc mój list nawet nie myślałam.

Namyślałam się dlatego, że znalazłam się w trudnem położeniu, bo z jednej strony muszę do pewnego stopnia przyznać paniom rację, z drugiej jednak nie czuję się ani złą, ani bezduszną lalą, ani nie uważam się za obowiązaną do obniżania stopy mego życia, dlatego, że ktoś ma mniej ode mnie.

Mam pewne obawy, że Panie mnie źle zrozumieją, że posądzą o chęć sprzeczki i postawienia na swojem, ale proszę mi wierzyć, że tak nie jest. Tylko Panie same przecież rozumieją, że życie nie jest takie proste, i że krótkiemi nakazami, masz rodzić dzieci! nie noś jedwabnej koszuli! oddaj swoją posadę bezrobotnemu! nie wiele uda się zdziałać. Gdyby mąż mojej krewnej mógł zająć moją posadę, a był bez zajęcia, oddałabym ją, napewno, ale oddać mogłabym wyjątkowo, i bynajmniej nie jest pewne, że szefby moją propozycję przyjął, alboby wzruszył ramionami i powiedział „jestem z pani zadowolony i nie mam ochoty na zmianę" o ile zaś nie jestem tak cenna, przyjąłby moją propozycję jako rezygnację z posady i oddał, ale nie mojemu krewnemu i może wogóle nie bezrobotnemu, ale znowu takiej osobie, która ostatecznie mogłaby bez tej posady istnieć. Może to jest niesprawiedliwe, ale posady daje się nie tym, którzy ich pragną, ale tym, których my na tych posadach widzieć chcemy i tego nie można zmienić, bo niewątpliwie i Panie, które mnie tak potępiły, gdyby chciały przyjąć służącą, nie brałyby tej, która najwięcej potrzebuje zarobku. Przeciwnie, jeżeli godzimy służącą na przychodnią, dbamy bardzo o to, aby nie miała licznej rodziny, dla której może zechce wynosić nasze prowianty. Otóż to! Proszę, proszę wziąć właśnie tę, która ma głodną gromadkę w domu i proszę się radować, że ona tej gromadce z waszych garnków jeść poniesie.

Z drugiej strony tym Paniom, które wołają, abyśmy zamiast pracą biurową zajęły się domem, przyznam rację. Stało się wogóle niedobrze, że kobiety zapełniły tyle miejsc po biurach. Nie dlatego, że nie powinny pracować, ale że zgodziły się pracować tanio, tak tanio, że mężczyznom ziemia się zaczęła usuwać z pod nóg. Teraz jednem cięciem noża tych spraw się załatwić nie da.

Kobiety „zdobyły równouprawnienie"! Drogie panie, nie kobiety je zdobyły, nie, przepraszam, źle się wyraziłam, nietylko kobiety je zdobyły, ale je dla nich zdobyła wojna! Nie można żadnej pojedyńczo winić, że w chwilach zamętu i rozpaczy brały, co im dawali, ale to był krok fatalny. My, kobiety, wpłynęłyśmy na obniżenie płac, my sprawiłyśmy, że dziś jedna normalna pensja nie wystarcza na utrzymanie domu. A odrobić się tego nie da tak łatwo, bo to pociągnęło za sobą i u dołu i u góry zupełnie zmienioną kalkulację.

O sprawie dziecka i koszul jedwabnych nie będę dzisiaj pisała, bo przedewszystkiem zauważyłam, że chociaż teoretycznie panie uznają konieczność wydawania na świat potomstwa, ale sprawa bezrobocia obeszła je znacznie bardziej.

I słusznie, bo sprawa bezrobocia związana jest i ze sprawą bezdzietności bardzo blisko. I nietylko bezrobocia, ale owej niepewności, że to co mam dzisiaj będę miała i jutro. Zawsze jest prawdopodobniejsze, że skoro dwoje pracuje, nie zredukują nas obojga. Nie mówię nawet o swoim wypadku, bo jeden wypadek nie może stanowić zasady, ale dziś każdy trzyma co może. Gdyby nasi mężowie mieli obecnie, jak to było za czasów mego ojca, posady na całe życie, których pozbawić mogły ich tylko wielkie uchybienia, zarazby się i chęć na dziecko znalazła. Nie każdy ma, jak panie zapewne uważają, „siłę", a ja powiem „lekkomyślność" w okresie niepewnego jutra rodzić słabe stworzenie na Bóg wie jaki los.

Mam takie uczucie, że teraz, kiedy napisałam tę wcale jeszcze niewyczerpującą odpowiedź, napisałam właściwie wstęp. Czuję, że teraz dopiero należałoby punkt po punkcie rozważyć wszystko i napisać dzieło. Ale na to brak mi tchu.

Tak, kochane panie, ludzie zawsze to widzą, co pragną zobaczyć. Kobiety widzą, że zdobyły równouprawnienie, że są mocne, że są mądre, że na ich barkach świat spoczywa. Bogać tam, a nie chcą widzieć tego, że były tak naiwne i słabe, że dały się obarczyć nadmiernie. Że pracują za dwoje, nie dzięki walecznie zdobytemu równouprawnieniu, ale naskutek nierozumnej konkurencji. Poderwały ceny, pozbawiły mężczyzn chleba, same zarabiają tak mało, że pożal się Boże. Naturalnie, że i ta sprawa ma dwie strony jak każdy medal, może nawet sześć jak kostka do gry, ale ja w ramach krótkiej odpowiedzi — rozprawki nie mogę się szerzej nad tem rozwodzić. Powiedziałam narazie to, „o czem się nie mówi" naogół. *Stella.*

NASZA SKRZYNKA

Panu Tadeuszowi.

Zanosi się między nami na dłuższą wymianę słów. O ile Praktyczna Pani będzie tak cierpliwą i zechce drukować nasze listy, to może wniesiemy coś nowego na jej szpalty. Przecież od dłuższego czasu sprawa, poruszana przez Pana i przeze mnie, jest przedmiotem naszych rozpatrywań.

Jako ślązaczka użyłam, przyznaję, zbyt dosadnych słów, (ale nie lepiej odpowiedziała Panu inna Pani, były to o ile wiem tylko te dwie odpowiedzi), lecz mowa nasza jest twarda, jak twardem jest nasze życie tu na Kresach Zachodnich, piszemy, nazywając słowa po imieniu, gdyż szkoda nam czasu na kolowanie.

Zasadniczo w swym liście pomylił się Pan, biorąc mnie za bardzo doświadczoną i za bardzo złośliwą wiedźmę.

Może nie wiele jest Pan ode mnie młodszym. Nie mam jeszcze lat trzydziestu i jakkolwiek jestem od lat dziesięciu mężatką, wcale nie jestem tak znów bardzo rozgoryczoną i tak bardzo nie winię wszystkiego i wszystkich za to, że życie moje poszło w innym kierunku, niż miałam zamiar go poprowadzić.

Proszę przeczytać dokładnie list, pisany pod adresem „Mimozy", toć przecież wieje z niego tyle wiary we własne siły, taka ufność, że człowiek nie jest nigdy do gruntu złym, że poprawa zawsze nadejść może, i że wówczas gotowa jestem wszystko zapomnieć, byle tylko żyć dobrze z człowiekiem, którego przecież tak bardzo kochamy, gotowa jestem wszystko przenieść by nie pozbawić dziecka ojca. Z listu mego wieje przecież chęć pogodzenia całego świata wszystkich ludzi, zrozumienie, że błędy człowieka nie zawsze idą razem z jego zamiarami.

Jednej rzeczy nie mogę tylko zrozumieć, jak może nam się zdawać, że kochany" — kazać cierpieć kochanej osobie, iść do drugiej do coraz to innej z tem przeświadczeniem, że ta podzieli los tej najpierwszej.

Mojem zdaniem, mężczyzna, który nie zdaje sobie sprawy ze swych uczuć (mowię tu o mężczyźnie dorosłym, pełnoletnim), nie powinien się żenić nigdy, albo może to uczynić wtedy, gdy nastąpi zupełna zmiana w jego usposobieniu, gdy będzie pewnym tego, iż złożona w kościele przysięga nie zostanie przez niego złamaną, nie stanie się krzywoprzysięźcą, nie spaczy życia osobie, którą siłą Sakramentu przywiązał do siebie na całe życie. Jako katoliczka nie uznaję rozwodów. Jeśli atoli nie jest tego pewien, to niech się lepiej nie żeni.

Za złożenie fałszywej przysięgi, sądy karzą bardzo surowo, za złamania danego słowa lub przysięgi, znajomi lub przyjaciele odsuną się od nas na zawsze, ale nie pomyślimy nigdy, że w kościele przed Bogiem składaliśmy przysięgę i łamiemy bezkarnie tyle razy. Trzeba wziąć pod uwagę mężczyzn i kobiety.

Dopatruje się Pan w moim liście ironji i złośliwości. Tak jest, ironizuję złośliwie, gdyż w mojem zrozumieniu mężczyzna, to człowiek silny, świadomy swej wartości, mocny w swoich postanowieniach. Całe życie urabia swój charakter, by nie być chwiejną trzciną, ale dębem, o który te właśnie trzciny z wiarą i ufnością oprzeć się mogę.

Wszystkim, którzy czytają ten dział w Praktycznej Pani, zasyłam serdeczne pozdrowienia i życzenia Wesołych Świąt.

Ślązaczka.

Pani Jadze.

Czytanie to nie wszystko. Trzeba zabrać się do jakiejś pracy, do czynu. Czytanie rodzi myśli i pragnienia, a krępowane zniechęceniem czy też lenistwem wytwarzają w Pani ten wielki pesymizm i dużo melancholji.

O ile Pani mieszka na wsi i jest prawdopodobnie nauczycielką, to pole do działania jest wielkie. Tyle jeszcze ugorów i nieużytków, że oby tylko chęci i zdrowia starczyło.

Zająć się trzeba dziatwą szkolną i pozaszkolną młodzieżą. Spoczątku praca jest trudna, ale już po roku wyda słodkie owoce.

Przy pomocy samych rodziców można stworzyć t. zw. wieczory, na które schodzą się dziewczęta, Pani uczy... zresztą co im Pani będzie chciała powiedzieć, to już samo się znajdzie, zawsze są takie bolączki lokalne, które trzeba starać się uzdrawiać.

Wieczory wówczas będzie miała Pani zapełnione, a kładąc się spać, odczuje Pani zadowolenie z dobrze zużytych wiadomości książkowych, poczuje się Pani człowiekiem potrzebnym i pożytecznym. Zasłuży sobie Pani na pełne zaufanie owych maleńkich, a gdy przyjdzie odjeżdżać od nich, uczyni to Pani z żalem, pozostawiając po sobie miłe wspomnienie na długo.

A odmawiając pacierz wieczorny, nie będzie Pani już czuła pustki w duszy i lęku przed nocą. Świst wichru nie będzie Panią przerażał, zrozumie go Pani, a szum liści nie będzie rodził upiornych zjawisk, bo będzie miała Pani słońce w duszy, bo jasne i promienne będą myśli i nie poskarży się Pani nigdy „wiele przecierpiałam, już nic mnie w życiu nie może spotkać dobrego", przeciwnie uwierzy Pani w coraz to nową wiosnę, a po latach, gdy wspomnienia napłyną z tych czasów, będą one bardzo piękne.

O ile się pomyliłam i nie jest Pani nauczycielką, to jednak nie przeszkadza Pani postąpić w sposób podobny.

Gdyby warunki materjalne pozwoliły mi na prywatną korespondencję z Panią, napisałabym tak wiele, że napewno zmieniłaby Pani swoje czarne zapatrywanie na przyszłość. Jednakże, niech Pani do nas, do Praktycznej Pani napisze czasem. Tak miło jest pogawędzić z nieznanemi i niewidzianemi nigdy osobami, które jednak że łączy wspólne pragnienie być dobrymi i pożytecznymi.

Ślązaczka.

Gorąco polecam paniom zdolną i uczciwą praczkę, którą znam od lat wielu. Bardzo potrzebuje poparcia, wychowuje troje dzieci w wieku szkolnym, a tak teraz trudno o pracę. Napewno Panie i same będą zadowolone i spełnią dobry uczynek. Adres jej: Żytnia 16 m. 13. Franaszkowa.

Z. Ż. P.

Pani „Życzliwa", która polecała wychowawczynię, proszona jest o podanie swego adresu do Redakcji Praktycznej Pani.

Drogie i kochane moje Panie! Proszę mi poradzić na serdeczną moją troskę. Mam siostrę wdowę. Jest to idealny typ żony, matki i człowieka. Nie dlatego to piszę, że jest siostrą, „Broń Boże". W pociągu wielu lat pozostawała na prowincji, poświęcając się wyłącznie, wychowaniu trojga dzieci i choremu mężowi. Mąż wprawdzie nie leżał, był na dobrem stanowisku, ale jeśli był pół roku zdrów to następne półrocze nie obyło się bez ziółek, okładów i t p. Tak upłynęło dziesięć lat. Dziesięć lat, na wychowaniu dzieci, doglądaniu ciągle chorego męża i ponieważ mają własny dom, trochę ziemi i gospodarstwo wiejskie, często musiała dopatrzyć tego, co należało do gospodarza. Jak gospodarowała? Skąd wzięły się siły w tej wątłej kobiecie, Bóg jeden wie! Dość, że dom i gospodarka po śmierci męża pozostały bez długu. Mieszkamy od siebie daleko. Ja w stolicy ona na głuchej prowincji, widywałyśmy się rzadko! — i miałam nawet żal do siostry za jej odsunięcie się od świata, od nas, za jej milczenie! Nie mogliśmy jej zrozumieć: jak mogła młoda, śliczna, pełna życia kobieta zakuć się w takiej głuszy i do takiego stopnia się zmienić! Nie znałam jej wysiłków, jej zmagań się z życiem! Nigdy na los swój nie narzekała i nigdy nas o nic nie prosiła! Drogie i ukochane moje Panie! Poradźcie na mój serdeczny ból, na moją otwartą ranę!

Dlaczego mi przyszła taka myśl: zauważyłam taki wypadek. Trzeba było załatwić coś w jakimś urzędzie; pojechał jeden pan, ażeby jej pomóc, przyjechał ze swoją dziewczynką, dzieci siostry poszły do szkoły, trzeba było zabrać dziecko ze sobą, całą drogę prowadziła dziecko za rączkę. Siostra troszczyła się o nie i jakby zapomniała o swoim smutku; wsparta na ręku tego pana silnego, sympatycznego, serdecznie jej współczującego zdawało się patrząc na nią, że chciałaby, aby droga ta trwała jaknajdłużej! Zdawało się przyczem bół! Jakżebym ją chciała tak widzieć z jej własnym mężem!

Wieczorem zapytałam jaknajserdeczniej: wyszłabyś ty kochana, zamąż powtórnie? Przestraszyłam się tego, com powiedziała. Żałowałam swoich słów. (Przebaczcie mi moje Panie drogie za myśl taką).

Ale ona spokojnie chociaż ze łzami w oczach odpowiedziała: Niechaj kamień nie będzie sam!! Jeśliby znalazł się człowiek mający swoje dziecko, kochałabym i wychowywałbym narówni ze swemi, byłabym najtroskliwszą matką! I człowieka, który dałby mi przy sobie zapomnieć o moim bólu, o troskach, które mnie tyle lat dręczyły, żeby mnie otoczył opieką, której mi tak boleśnie brak. Doznałby prawdziwej ciszy i szczęścia domowego ogniska. Drogie moje Panie! Ja sama mam już wnuków, i samotności wyobrazić sobie nie mogę! A ona ma lat 38. Czyż pora odsunąć się jej od życia! Jedynym łącznikiem ze światem jest dla niej Praktyczna Pani! I na mnie w domu czeka to kochane pismo. Mnie pora odjechać! A jej pozostaje głusza... pustka i ból.

Oto co zostało z poświęconych piętnastu lat.

Elżbieta.

P. S. A może pomóc jej sprzedać to wszystko i osiedlić się bliżej miasta i ludzi. Radźcie ukochane Panie!

SUKNIE DO CIĄGŁEGO UŻYTKU



521 pp. Skromna, codzienna suknia granatowa, ozdobiona plisowaną falbanką z tafty.

522 pp. Sukienka z popielatej wełny, kołnierz — szalik z bladoróżowego jedwabiu.

523 pp. Suknia z grubej, przerabianej wełny, kołnierzyk z taśmy, żabot z jedwabiu w odcieniu jaśniejszym niż suknia.

ŁADNE WIECZOROWE SUKNIE



518 pp. Suknia z lśniącego jedwabiu, czarna lub bronzowa. Rękawy i karczek z koronki czarnej lub kremowej, zależnie od koloru sukni.

519 pp. Suknia z ciemnego jedwabiu, zielonego, podbicie rękawa białe.

520 pp. Sukienka welwetowa śliwkowego koloru, rękawki z tafty tego samego lub nieco jaśniejszego koloru. Kwiat bladożółty, z organdyny.

Punktualne wpłacanie prenumeraty gwarantuje punktualne doręczanie pisma

W ZWIERCIADLE MODY

O SUKNIACH WIECZOROWYCH

Oczywiście, że najwyższy już czas pomyśleć i pomówić o sukniach wieczorowych. Nie można się zasłaniać Adwentem. Bo jeżeli ktoś chce i ma zamiar się bawić, to właśnie teraz musi się zakrzątać około sukienki wieczorowej.

Już przed Bożem Narodzeniem wylaniają się jakieś projekty „tańcowe", a wiadomo, że Sylwester przyniesie je z pewnością. Więc, jeżeli pani ma zamiar potańczyć, a być modnie i niedrogo ubraną, to musi sobie sprawić suknię z tafty. Koniecznie i nieodwołalnie z tafty.

To jest modne, modne. Może aż zabardzo. Ale jednocześnie zręczne, twarzowe i tanie. A przytem kolekcja taft jest w tak dużym wyborze, w takiej gamie kolorów i odcieni, tak ślicznie się mieni, (bo najmodniejsze są tafty mieniące), że trudno doprawdy zdecydować się na coś innego.

Wieczorowe suknie taftowe robi się długie, kloszujące dołem, nawet powłóczysie, chociaż to trochę w tańcu przeszkadza. Pod tym względem stanowią typ. Zato w staniczkach panuje ogromna rozmaitość. Gładkie, przybrane tylko jakąś z przodu draperją, albo ogromnym pękiem kwiatów w kontrastowym odcieniu. Inne z długiemi fantazyjnemi rękawami o sterczących górą bufach. Jeszcze inne całe wymarszczane wpoprzek z rękawami tak samo marszczonemi.

W jednym z magazynów pokazano takie liljowe cudo, mieniące srebrem, które robiło wrażenie pęka fiołków parmeńskich, skropionych rosą. Gdzieindziej blady róż mienił się złotem. Tam znów ciemno - zielony z odcieniem bronzowym, albo czarnym.

Piękne są też odcienie bordo z metalicznym połyskiem czarnym, miedzianym, złotym. Połączone z małą pelerynką z czarnego aksamitu mają jakąś powagę i ślicznie ubiorą wysmukłą, śniadą i ciemnowłosą panią.

Oczywiście w tej plejadzie odcieni, wśród których widać i trochę niebieskich, czarny zajmuje sobie zawsze przynależne miejsce. Jest niezawodny, zawsze dystyngowany, a ozdobiony dużym pękiem kolorowych, jakgdyby zmiętych kwiatów, wygląda bardzo wytwornie.

Ale oczywiście nosić się będzie nietylko taftę, która należy do typu modnych sukien popularnych.

Modne są grube marokeny, z których szyje się toalety, à la średniowieczne z dekoltem w karo i rękawami rozciętemi od łokcia i spadającemi do samego dołu sukni. Niektóre toalety robi się z żorżety, lub ninon, całe drobno plisowane, albo drapowane na wzór greckich tunik. Jeszcze inne robione są z pięknych velour'ów i zaopatrzone w długi, powłóczysty tren.

Zawsze piękne są z czarnego satin, bardzo obcisłe, modelujące doskonale linję, a tak błyszczące, jakby robione z polerowanej blachy.

Oczywiście w obecnym ogólnym nastroju i warunkach finansowych nie można nawet myśleć o wielkich i hucznych balach. Zapewne odbędą się tu i owdzie, ale nie na zeszłoroczną skalę nawet.

Dlatego też raczej zastanowić się trzeba nad sukniami ściśle wieczorowemi, w których można iść na tańce, na dancing, lub nawet na bridge,a. Dekolt takiej sukni osłania się starannie żakiecikiem w stylu zupełnie męskim, wykonanym z tego samego materjału co suknia. Suknia bywa albo cała, mocno na plecach wydekoltowana, albo składa się ze spódniczki i żakiecika i bluzeczki leciutkiej w kolorze odrębnym, albo do cieniu, wykonanej z koronki, tiulu, matlacé, albo drobnych paciorków. Żakiecik zdejmuje się do tańca, a wkłada się go podczas bridge'a, albo skromnego wieczornego zebrania. I doprawdy i „owca cała i wilk syty". Spódniczka musi być oczywiście zupełnie długa.

Pantofelki balowe miewają często fason sandałka ze srebrnej skóry. W Paryżu pokazano takie płaskie sandałki zupełnie bez obcasa! Czy się przyjmą? niewiadomo naturalnie. I czy wygodnie i zręcznie będzie w nich tańczyć? Obok nich, jak zwykle czółenka jedwabne pod kolor sukien i czarne reniferowe z wązkich paseczków zawsze zgrabne i wygodne, a przytem mocne, byleby je czyścić umiejętnie.

Marjeta.

Składajcie ofiary na Naczelny Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka J. Piłsudskiego. Konto P. K. O. 15-15.

PIEŚNI BOŻENARODZENIOWE - KOLENDY

Najbezpośredniejszym wyrazem ludzkich uczuć, smutków i radości był od prapoczątku śpiew i taniec. Tańcem i śpiewem obchodził lud podniośle i uroczyste chwile w swem życiu.

Święta Bożego Narodzenia od dawien dawna obchodzone były przez lud ze specjalnem wzruszeniem i głęboką powagą. Z uczuciowego, pełnego tkliwości i miłości ustosunkowania do Dzieciątka rodzi się samorzutna pieśń nabożna — kolenda. Niewiadomo wprawdzie dotychczas, czy kolendy zrodziły się pod wiejską strzechą, czy w dworkach polskich. W każdym razie udział twórczości ludowej w ich powstaniu jest bezwątpienia silny, choćby w formie, w jakiej lud je na własność przejął i do psychiki swojej dostosował.

Pieśni Bożenarodzeniowe sięgają czasów bardzo dawnych. Dokładne oznaczenie czasu ich powstania, zwłaszcza kolend polskich, jest niezmiernie trudne, ze względów najróżnorodniejszych. Przedewszystkiem spowodu tego, iż językiem oficjalnym Kościoła, aż po wiek XVI była łacina. Biegli w piśmie duchowni, nie zapisują więc ludowych poezyj, ani pieśni polskiej. Tembardziej, że tekst kolend — według mniemania Kościoła — bywał czasem zanadto swawolny. (Podział pieśni śpiewanych przez lud w kościele i śpiewanych podczas świąt w domu utrzymał się jeszcze w Zbiorach pieśni kościelnych do wieku XIX). Dopiero w XVI wieku pod wpływem ogólnego pędu do używania rodzimego języka w literaturze, pod wpływem ruchu reformacyjnego w Niemczech i Czechach, dopuszcza także Kościół do swych wrót. Od tego czasu poczynając, mnożą się zbiory kolend i kantyczek polskich. Wiek następny XVII wykazuje ich pokaźną ilość. Najstarsza jednak zachowana kolenda polska sięga jeszcze wieku XIV — „Zdrów bądź królu anielski".

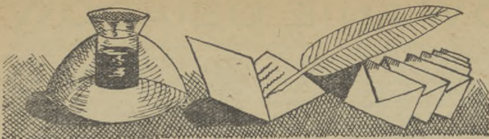
Nieustalony również jest czas powstania nazwy „kolenda". „Calendae festarum", zrazu pieśni noworoczne ukazują się w językach słowiańskich w wieku XIII, a polska nazwa w wieku XVI. Nieco inaczej przedstawia się sprawa z pieśniami łacińskiemi na Boże Narodzenie. Same święta przeniesione zostały na dzień 25 grudnia jeszcze w wieku IV. Wtedy już poleca Kościół obchodzenie uroczystości — „Stolicy wszystkich świąt", oraz urządzanie Jaselek. Przedstawienia po szkołach i klasztorach — średniowieczne misterja ludowe, wprowadzają do Jaselek coraz to nowe postacie i coraz to nowe pieśni.

Pierwsze łacińskie pieśni liturgiczne sięgają jeszcze czasów „Wędrówki ludów". Z hymnów starochrześcijańskich powstają pierwsze pieśni świąteczne. Już w wieku IX komponuje Notker Balbulus sekwencje na Boże Narodzenie, przejęte potem przez oficjalną Liturgję kościelną. Przejmuje je również muzyka artystyczna. Pieśni w kościele śpiewane stają się źródłem wielu natchnień.

Kolendy, „jasełka" i „choinka" stają się własnością całej Europy. W Niemczech i krajach alpejskich, Austrji śpiewają chłopi pieśni nabożne, już w czasie Adwentu. W każdej izbie wiejskiej, buduje lud żłobek, wokoło którego gromadzi się cała rodzina śpiewając kolendy, przygrywając na instrumentach. Z wież wielkich miast rozbrzmiewają uroczyste dźwięki. Od domu do domu wędrują z szopką gwiazdory, herody i szopkarze, niosąc ze sobą pieśń Bożego Narodzenia.

Dzisiaj w dobie tramwajów, telefonów, radja i największych technicznych wynalazków wzrusza nas ciągle jeszcze i zawsze jednako do naszego serca przemawia prosta, rzewna czy też skoczna nuta kolendy. I dziś, jak dawniej, w czasie świąt Bożego Narodzenia gości w domach polskich „Śpiew Bożenarodzeniowy". Świąteczny program Polskiego Radja ułożony został również pod znakiem kolendy o najróżnorodniejszym charakterze: kolendy starodawnej, regjonalnej, „kantyczek", kolend śpiewanych przez chóry ludowe, chóry dziecięce, kolend w wykonaniu organowem, orkiestrowem i t. p. Aparaty radjowe niosą w domy polskie kolendę, która nietylko wzruszy serca radjosłuchaczów, ale również zapozna ich z najstarszemi pieśniami Bożego Narodzenia.

Uprzejmie prosimy nasze Czytelniczki, aby zamawiając formy bibułkowe chciały przy numerze sukni podawać wyraźnie litery P. P. jako odnoszące się do naszego pisma, oraz dla uniknięcia nieporozumień numer zeszytu, w którym był dany fason pomieszczony.



ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Właścicielce pieska.

Jeżeli Pani będzie nadal żywiła swojego pieska jak dotąd, napewno go Pani zmarnuje. Zwierzę tak jak człowiek musi mieć dla organizmu pewne dostarczane składniki, których brak źle się na stworzeniu odbije. Nie wiem, czy to możliwe, bo mi Pani nie pisze dlaczego piesek dostaje wyłącznie gotowaną cielęcinę, żeby jego życie nieco urozmaicić. Niech mu Pani daje owsianą kaszę nie rozgotowaną, ale rozprażoną w gorącej wodzie z mięsem, lepiej surowem siekanem. Musi być tak zmieszane, żeby cała kasza przeszła mięsem. Przyzwyczajony do samego mięsa, może będzie grymasił, można go jednak do kaszy przyzwyczaić, dając z początku niewiele. Pozatem niech go Pani nauczy jeść skórki razowego chleba z masłem. W ten sposób pies otrzyma wszystkie potrzebne dla zdrowia składniki. Nie mogę nic powiedzieć o naturze plam, nie widząc ich, w każdym razie mogą one być spowodowane złem żywieniem. Gdyby piesek lubił możnaby mu dać trochę tranu, pół łyżeczki na dzień.

Co się tyczy paznogcia, szkoda, że pomyślała Pani o nim tak późno. W każdym razie na operację zawsze będzie czas. Tymczasem trzeba będzie poprobować kuracji, która jest łatwa, ale długotrwała, może jednak pomoże. Proszę rozciąć na pół cytrynę i codzień trzymać w niej palec dwukrotnie po 5 minut. Wgłębić go w miąższ i trzymać. Po tym zabiegu posmarować palec grubo lanoliną z olejkiem kamforowym pół na pół, owinąć płótnem, skórzany palec kłaść tylko do wyjścia, na wizytę i t. p., żeby do paznogcia miało dostęp powietrze, ale żeby stale tonął w tłuszczu. Może witaminy i kwas z cytryny oraz tłuszcze pozwolą paznogciowi odżyć i nie pękać tak fatalnie. Trzeba to robić przez kilka miesięcy, a potem do nas napisać.

Pani Karylla.

Reklamacje odesłałam do Administracji, gdzie naturalnie będzie załatwiona pomyślnie. Co się tyczy życzeń Sz. Pani, mogę się do nich zastosować, niestety nie prędko, ponieważ oprócz wykonania rysunku będzie jeszcze sporo technicznej roboty, pozatem tablice są już wykonane na dwa numery naprzód. Sądzę, że koło 1-ego lutego będzie Pani mogła mieć wzór na błuzkę. Tem chętniej zastosuję się do tego pragnienia, że niewątpliwie wzór taki przyda się również innym paniom. O ile chodzi o dział „Co panie o tem myślicie", zmienił on obecnie nazwę na „Proszę o głos". Bardzo pragnę, aby panie znalazły w nim trybunę, z której się będą mogły wypowiedzieć i sądzę, że się sczasem znacznie powiększy.

Pani Zula z Wielkopolski.

Pudry w płynie są niehigjeniczne. Jednorazowy użytek, w podróży czy na balu nie zaszkodzi, stale używać go jednak nie należy. Jeżeli Pani bardzo dba o cerę, trzeba stosować puder krajowy dobrej firmy, albo kazać sobie przygotwać na zamówienie w aptece. Na dzień można pod puder stosować krem, który stosować w zależności, czy skóra jest sucha, czy tłusta i kupując, wyraźnie zaznaczyć. Na noc twarz starannie umyć i posmarować kremem, jakiego przepis znajdzie Pani w następnym numerze.

Stałej Czytelniczce z Milanówka.

Stałego stosunku ilości pomidorów użytych na konserwę, czy marmeladę podać nie można, ponieważ gatunki pomidorów jedne mają więcej inne mniej soku, pozatem każdego roku warunki klimatyczne sprawiają, że owoc raz bywa więcej innym razem mniej soczysty.

Marmelady otrzymujemy przeciętnie $^{1}/_{3}$ objętości pomidorów usiekanych, ponieważ $^{1}/_{6}$ część odchodzi przy scedzeniu wody bezwartościowej, $^{1}/_{2}$ zaś na wyduszenie.

Konserwy około $^{2}/_{3}$, przy sterylizowaniu bowiem nic się z objętości nie traci, ale na odlaniu wody. Pomidory zmielone w maszynce należy zarówno na marmeladę jak na konserwę zostawić w spokoju na noc, rano oddzieli się od spodu sok, który nie ma wartości, należy go zlać, względnie z niego zdjąć masę pomidorową.

Co się tyczy kwestji, jaka jest ekonomiczniejsza w użyciu, zależy to w zupełności od smaku pomidorów. Mało duszone, bez chemicznych dodatków, tylko sterylizowane są najlepsze, bierzemy ich tyle co świeżych, mają ładny kolor i smak dobry są więc w rezultacie najekonomiczniejsze.

Pani W. D.

Odpowiedź znalazła Sz. Pani zapewne już w porzednim numerze, obecnie chcę tylko dodać, że pracować niewątpliwie warto, jakkolwiek mała próba nie upoważnia jeszcze do pewnego twierdzenia. Ma Pani język dobry, czysty i naturalną prostotę, a to są cenne zadatki.

Pani W. Z.

1) Czy dobrze jest w okresie zimowym wyrzucać odpadki jak obierzyny z warzywa, łupiny z jaj i t. p., oraz popiół przesiany z węgla kamiennego na ogródek, w którym uprawia się latem warzywa?

Wszelkie odpadki wyżej wymienione powinno się zbierać na tak zwany kompost, ale nigdy bezpośrednio wyrzucać na ogród, przedewszystkiem dla tego, że takie odpadki leżące w ogrodzie sprawiają nieestetyczne wrażenie, a po drugie, jeżeli między obierzynami były łupiny z ziemniaków, może się zdarzyć, że wyrosną nam niepożądane ziemniaki np. na grządce z węgla należy składać do specjalnego dołu i dopiero na wiosnę, gdy już wszystko dobrze przegniło, wtedy wysypywać na grządki. Postaram się o racjonalnem założeniu kompostu napisać w najbliższym czasie osobny artykulik.

2) Jak sadzić i kiedy z wiosną należy, i jaki nawóz dać pod krzaki?

Krzaki należy sadzić jak tylko ziemia na tyle zmięknie, że możemy wykopać odpowiedni dół. Najlepszym nawozem jest obornik, względnie nawóz koński.

3) Jaki podręcznik nabyć, aby nauczyć się uprawy ogródka warzywno kwiatowego?

Jest jeden dobry podręcznik, coprawda dla dzieci, ale również i starsi mogą się nim posługiwać, szczególnie o ile są całkowitemi laikami: Książeczka ta ma tytuł: Mały ogródek, napisała J. Antoniewiczówna, nakład św. Wojciecha.

M. D. B.



Matka. Cóż tam Jędrek słychać w szkole.

Syn. Dostałem dwójkę, bo niewiedziałem, gdzie leży Abisynja.

Matka. Zawsze ci powtarzam smarkaczu, żebyś pamiętał, gdzie co kładziesz.

OD WYDAWNICTWA

Zawiadamiamy Szanowne Panie Czytelniczki, że obecny podwójny, 43-44 numer „Praktycznej Pani" jest ostatniem tegorocznem wydaniem naszego tygodnika. Następny numer ukaże się na sobotę, 4 stycznia 1936 r.

DYSPONOWANIE OBIADÓW

Dzisiejsze panie domu uważają dysponowanie obiadów za ciężkie utrapienie, dopust Boży, zabierają się do tego z westchnieniem rozpaczy! Nic więc dziwnego, że cierpią pod tym względem na kompletny zanik pomysłowości, bo już taka natura ludzka, że robi łatwo i dobrze to, co lubi. Ten epidemiczny brak zamiłowania do tego obowiązku wprowadza mię w niewypowiedziane zdumienie; narzekają starsze panie, wypraktykowane gospodynie, te posądzić można o pozę! Z ust młodych gospodyń nie schodzi prawie frazes: „to takie straszne myśleć ciągle o jedzeniu!" Dlaczego ciągle? Czy taka zła organizacja domu? Czy taka nienawiść do tej czynności, że wszystko inne przesłania?

O wy, lekkomyślne, które nie wiecie; na co narzekacie! rozpoczynam z Wami walkę na całym froncie! Bo lubiłam dysponowanie obiadów od małej dziewczynki, choć należałam do typu t. zw. moli książkowych. Przy mojej szafce z książkami spędzałam wiele godzin, a lalki długo pochłaniały moją wyobraźnię, na pomaganie w gospodarstwie niewiele więc zostawało czasu, jednak do dysponowania obiadów nieraz mię wołano. Na to wezwanie biegłam zawsze z przyjemnością!

Nie wiem, czemu przypisać moje zamiłowanie w tym kierunku. Czy staremu dworowi, w którym wszystko było „nadzwyczajne", nawet kuchnia sklepiona przerobiona z dawnego skarbca, gdzie znajdowała się szafka w murze z tajemniczem przejściem na schodki prowadzące na piętro. Okno wychodziło do parku, a było miejscem naszem ulubionem. W czasie przerw między lekcjami biegło się tutaj pytać, co na obiad, potem zasiadało w głębokiej niszy okiennej do pogawędki z Jankiem Kucharzem, staruszkiem dobrotliwym i pogodnym, który lubił opowiadać, jak z naszym ojcem jeździł do Warszawy końmi z odległego Wołynia, o rozmaitych przygodach w tej podróży, o Warszawie, gawędząc z nami, nigdy jednak nie przerywał pracy, robił kotlety, krajał kluski. Były to więc jednocześnie pierwsze poglądowe lekcje gotowania, wtedy nauczyłyśmy się robić te rzeczy po kucharsku, t. zn. obmyślanie, z zaoszczędzaniem czasu. Mimo wieku ręce starego Janka pracowały szybko i sprawnie, podziwialiśmy zgrabne kotleciki, łykaliśmy ślinkę do precelków, rogalików wyrabianych z ciasta. Z podziwu rósł respekt dla Janka - Kucharza. Umiał go budzić, nie śmieliśmy nigdy przeszkadzać, gdy był bardzo zajęty. Z respektu dla Janka, dla wszystkich starych sług naszego dworu urosło wysokie poważanie dla zajęć domowych i ich wykonawców. I dziś pomimo mego wielkiego pietyzmu dla nauki, zainteresowań społecznych, sprawy domowego gospodarstwa nie uważam za błahe. To nie jest drobiazgiem, jak jemy i co jemy, bo od tego, czy jesteśmy dobrze odżywianym narodem, zależy nasza energja do pracy, nasza odporność, sprężystość, inicjatywa, lotność umysłu!

Dziwnem też się wydaje, że kobiety lekceważą, tak wielkiem atutem, jak kokietowanie męża talentami, umiejętnościami gospodarczemi. Znane powiedzenie „przez żołądek do serca mężczyzny", ponieważ trywialne więc jest jednostronne, bo przecież nie pozyskuje się uczuć męża tem, że się wogóle zna na kuchni, ale pamięcią o jego gustach, upodobaniach, zdrowiu, jak słusznie mówi napis na serwetce poznańskiej: „Dobra żona tem się chlubi, że gotuje co mąż lubi", a więc zdobywa się serce myślą serdeczną, troskliwością o siły, zadowolenie kochanego! Wiele jest czaru w oczekiwaniu na przybycie męża w miłem mieszkaniu ze smacznym, pokrzepiającym obiadem! Kobiety, które tego nie odczuwają, nie są dobremi żonami! A nie narzekajcie na ciężkie czasy, gdyż więcej jest doskonałych, smacznych potraw i zdrowych tanich, niż drogich. Dobry obiad zależy głównie od umiejętnego ułożenia menu, które bierze wszystko pod uwagę:

1) Czas gotowania potraw. Należy dobierać dania gotujące się jednakowo długo np. krupnik z płatków owsianych, kotlety kartoflane z sosem pomidorowym, na deser omlet z konfiturami. Obiad ten będzie gotów w przeciągu 1½ godziny, nie wyjdzie więc wiele paliwa i nie absorbuje długo gospodyni. Gdy zaś na obiad ma być pieczeń, zupę dobieramy gotującą się długo, barszcz ukraiński, grochową i t. p.

2) ważnym momentem w technice gospodarskiej jest dobór potraw nie wymagających jednakowego wysiłku pracy, uniknie się w ten sposób przemęczenia osoby gotującej, a przez to samo gwarantuje się punktualniejsze i lepsze wykończenie obiadu. Gdy dysponujemy sznycle, lub kotlety z groszkiem i marchewką, pamiętajmy, by zupa była łatwa np. krupnik, cytrynowa z ryżem.

Przy układaniu menu więcej jeszcze uwagi niż stronie technicznej należy poświęcić dobieraniu potraw pod względem sytności i smaku. Nie można dysponować takich horendalności jak obiad cały kartoflany: kartofle do zupy, ołatki kartoflane, a na deser kisielek; lub wszystkie potrawy na kwaśno. Mogą nawet takie obiady smakować, ale rezultaty będą opłakane, gdyż menu musi być urozmaicone i posilne; osiągniemy to wtedy, gdy do naszego jadłospisu wprowadzimy więcej jarzyn, sałat, owoców i kasz dziś zapomnianych, a ogromnie pożywnych. Zwalczajmy przesąd, że potrawy te są niesmaczne, dobre dla chorych lub jaroszów. Dania z kasz, jarzyn będą b. smaczne, o ile dobrze je ugotujemy i należycie przyprawimy, pamiętajmy, że doprawienie jest jedną z najważniejszych rzeczy, by obiad smakował. Niech smaczny zapach nęci powonienie, listek pietruszki lub sałaty cieszy oko, a po takim posiłku skromnym lecz posilnym wstaniemy syci i zadowoleni.

Najlepiej jest układać menu na kilka dni odrazu, a uważać należy, by nie tylko jednego dnia, ale dzień po dniu nie było podobnych potraw, albo podobnie przyrządzonych np. kotlety siekane, a na drugi dzień klops. Albo wiele smażonego, co jest za ciężkie i szkodzi wątrobie, lub same gotowane, co znów za mało posilne!

Praktyczna pani wszystko ma na względzie, dysponując obiad, nie jest to nudne; ani takie trudne, tylko trzeba dobrej woli i szczerego zainteresowania. Nie chcę przez to powiedzieć, że prowadzenie domu jest małą pracą, ale jest lepszą pracą, bo samodzielną i twórczą, a jedną z najważniejszych, bo dom, rodzina są podstawą społeczeństwa. Przez ręce pań domu przechodzą miljony złotych i od nich zależy, czy te pieniądze idą na pożytek ekonomiczny i zdrowie narodu, czy na zubożenie kraju, a zniedołężnienie społeczeństwa!

Marja.

Nędza wyzyskiwanych a nie zorganizowanych pracownic

Według pobieżnych obliczeń w samej Warszawie znajduje się około 30.000 warsztatów pracy kobiecej. W każdym z tych warsztatów pracuje średnio 3—4 osoby. Jednem słowem klasa pracownic igły tworzy poważną przeszło stutysięczną armję.

Warunki materjalne, w których muszą zarobkować, są wprost fatalne.

Dość powiedzieć, że zarobki szczególnie w północnej części Warszawy wahają się od 30—50 groszy dziennie w branży kołder, a w pończoszniczo - trykotarskiej dochodzą do 2 zł. Oprócz wynagrodzenia w gotówce, dostaje pracownica tak zwane utrzymanie, czyli trzy razy dziennie po kromce chleba, dzwonko śledzia z plasterkiem cebuli i kubek herbaty.

Kryzys, obecnie panujący i w tej dziedzinie, dał się dotkliwie we znaki.

Bezrobocie wśród pracownic igły przybiera wprost katastrofalne rozmiary, a powiększa je jeszcze fakt, iż wskutek masowych redukcyj kobiety pracujące dotychczas w przemyśle, handlu lub biurowości z braku pracy w swych zawodach, usiłują na własną rękę prowadzić warsztaty, żeby chociaż w ten sposób cośkolwiek zarobić i nie być ciężarem społeczeństwa.

Właśnie wskutek tego, że w obecnych czasach wszyscy garną się do jakiegokolwiek zarobku, zawodowe pracownice igły cierpią wprost nędzę.

Mimo, że w Warszawie jest, jak wyżej zaznaczyłem, przeszło 100.000 tych pracownic, to jednak dotychczas nie są one zorganizowane w Związek Zawodowy i niema nikogo, kto mógłby wywalczyć dla nich chociażby znośne warunki bytu.

Niestety zaledwie 10% pracownic warsztatów kobiecych jest członkami tych lub innych związków kobiecych, podczas gdy 90% chodzi luzem i wskutek tego wyzyskiwane są one niemiłosiernie przez niesumiennych pracodawców.

Według obowiązujących ustaw, każda pracownica powinna być zapisana do Ubezpieczalni Społecznej. Tymczasem bardzo mały procent chlebodawców poczuwa się do tego obowiązku.

Skutki lekceważenia tej ustawy przez chlebodawców są wprost opłakane. Biedna dziewczyna, gdy zachoruje, nie tylko pozbawiona jest opieki lekarskiej, lecz z reguły zostaje zwolniona i pozostaje na bruku bez żadnych środków utrzymania, a w dodatku chora i wtedy doprowadzona do ostatecznej rozpaczy popełnia samobójstwo, względnie oddaje się pierwszemu napotkanemu mężczyźnie za „łyżkę ciepłej strawy".

...i wszystko to dzieje się w stolicy: pod bokiem Inspektorów Pracy i Ministerstwa Opieki Społecznej.

Uregulowanie tych anormalnych stosunków jest sprawą niezwykłej wagi i nie wolno przechodzić nad tem do porządku dziennego.

Mamy nadzieję, że w pierwszym rzędzie Ministerstwo Opieki Społecznej zainteresuje się poruszonym tematem i zbada dokładnie tę sprawę, ukrócając tem samem niesłychany w XX wieku wyzysk, dotychczas w wyżej podanych zawodach bezkarnie uprawiany.

Mieczysław Dunin Borkowski.

OGÓLNE ZASADY HODOWLI ROŚLIN POKOJOWYCH



Każda roślina potrzebuje do życia trzech zasadniczych warunków a to: wilgoć, ciepło i światło.

Światło naturalne, a więc słoneczne, jest dla roślin najodpowiedniejsze, dlatego pokoje, w których hodujemy rośliny, muszą być słoneczne, najlepsze z wystawą południową, połud wschodnią i połud.-zachodnią.

W pokoju o wystawie północnej mogą żyć zaledwie niektóre rośliny. Rośliny kwitnące należy ustawić jaknajbliżej okna i na oknie, by miały jaknajwięcej światła.

Ważnem jest, by rośliny nie rosły jednostronnie do światła, dlatego należy je co jakiś czas odwracać od okna, wtedy będą rosły równomiernie we wszystkich kierunkach.

Okien w pokoju z kwiatami nie należy cieniować, chyba podczas bardzo silnej operacji słonecznej i to na 2 — 3 godziny południowe. Jeżeli mamy parapety okienne bardzo szerokie, wówczas należy ustawić rośliny według wielkości i tak: najbliżej okna ustawimy najniższe rośliny i najbardziej potrzebujące słońca, a więc kaktusy, dalej w drugim rzędzie ustawimy rośliny nieco wyższe i kwitnące: primule, fiołki alpejskie, pantofelniki, cinerarje i inne, a w trzecim rzędzie lub na podstawkach koło okien ustawimy rośliny wiecznie zielone i niekwitnące, jak: paprocie asparagusy, palmy, draceny i inne. Ważnem jest, by roślin zanadto nie skupiać obok siebie. Każda roślina musi mieć dostateczną ilość miejsca i światła, by mogła się należycie rozwijać. Rzadkie rozstawienie roślin ma jeszcze i to ważne znaczenie, że szkodniki nie tak łatwo wtedy się mnożą i nie przenoszą się na inne rośliny.

Drugim ważnym czynnikiem w życiu rośliny to ciepło. O ile światło stosować należy bez ograniczeń, gdyż nadmiar światła nigdy roślinom nie może zaszkodzić, o tyle ciepło musimy stosować bardzo umiejętnie.

Pamiętać należy, że każda roślina najwięcej ciepła potrzebuje w okresie pełnej wegetacji, a więc w chwili tworzenia swoich organów jak: liście, łodygi, korzenie, kwiaty, owoce. Okres ten waha się od marca do września i w tej porze wysoka ciepłota (oczywiście nie nadmierna) nietylko że roślinom nie szkodzi ale nawet bardzo dodatnio wpływa na całokształt ich rozwoju. Pod koniec sierpnia roślina zwalnia nieco w pracy budowy swych organów, obieg soków życiodajnych zaczyna stopniowo słabnąć i roślina przechodzi powoli w okres zimowego spoczynku. W tym okresie roślina wymaga spokoju i niskiej temperatury i w tych warunkach roślina wypoczywa.

Jeżeli w tym okresie podniesiemy temperaturę w pokoju i damy roślinie nadmiar wilgoci, wówczas pobudzimy ją do intensywniejszej wegetacji. W tym czasie słońca jednak jest mało i ten czynnik tak ważny, jak światło, będzie w minimalnej ilości; równowaga wtedy będzie zachwiana, a zatem roślina wejdzie w stan podchorobowy, a potem chorobowy, następstwem czego jest powolna śmierć rośliny.

Od września do marca starać się należy trzymać rośliny w uśpieniu, a więc utrzymywać niską temperaturę +6—+8°C i dawać jaknajmniej wilgoci. Co do stosowania temperatury takiej czy innej, to musimy podzielić rośliny na grupy i odpowiednio ustosunkować ciepłotę.

Takie rośliny, jak paprocie delikatniejsze, palmy, storczyki, niektóre wodne rośliny winny mieć dosyć wysoką temperaturę + 15 — + 20° C.

Do drugiej grupy zaliczamy kaktusy, begonje, rośliny cebulkowe i dla nich staramy się utrzymać temperaturę w granicach + 10 — + 15° C.

Do trzeciej grupy należą wszelkie rośliny dekoracyjne, jak: laury, pomarańcze, figi, rododendrony, kamelje, oleandry i inne. Temperatura dla nich od + 4 — + 10° C Kto posiada kilka pokoi, to musi mieć na względzie ten podział i odpowiednio sobie pogrupować rośliny i regulować temperaturę w miarę ich potrzeb. W jednym pokoju starać się utrzymywać jednakową średnią temperaturę od + 15 — + 18° C., a wtedy wszystkie rośliny będą się w niej możliwie rozwijały.

Bardzo ważnym czynnikiem w rozwoju roślin to wilgoć, którą naprawdę należy stosować bardzo umiejętnie.

Podlewanie naogół uskuteczniamy bardzo bezmyślnie, traktując wszystkie rośliny jednakowo. Przy podlewaniu należy trzymać się zasad ogólnych, które obowiązują w większości wypadków. W okresie silnej wegetacji roślin a więc od 1-go marca do września, należy roślinom dostarczać dużo wody. W miarę zbliżania się jesieni, podlewanie stopniowo ograniczać do minimum.

Przy tem ograniczeniu podlewania nie należy dopuścić tylko do zasuszenia korzeni. W lecie, a szczególnie podczas słonecznych dni, nie zaszkodzi niektórym roślinom i dwukrotne podlanie. Uniknie się wówczas tak szkodliwego dla roślin więdnięcia. Jednokrotne podlanie doniczki wodą nie wystarcza. Musimy podlanie powtórzyć kilkakrotnie 2—3 razy. (Podlać, zaczekać aż woda wsiąknie i znów podlać.) Doniczki muszą stać koniecznie na podstawkach. Woda wówczas wypływająca otworem wyciekowym doniczki spływa do podstawki i nie niszczy parapetu okiennego. Wodę z podstawki należy usuwać, gdyż tam gromadząca się woda kwaśnieje i powoli zakwasza ziemię w doniczce, a tego objawu musimy unikać, gdyż wysoce odbija się zakwaszenie ziemi na rozwoju roślin.

Woda do podlewania musi mieć temperaturę pokojową, woda bowiem za zimna powoduje rodzaj paraliżu u roślin i zatrzymuje je na jakiś czas we wzroście. Woda natomiast za ciepła powoduje więdnięcie roślin. Rośliny pokojowe lubią atmosferę t. zw. duszną, to znaczy taką, gdzie jest dużo pary wodnej w powietrzu. W tym celu należy często zraszać rośliny rozpylaczem, chociażby takim, jakiego się używa do wody kolońskiej, lub zwykłym, składającym się z dwóch rurek ustawionych do siebie pod kątem prostym, gdzie rozpylanie uskutecznia się przy pomocy wdmuchiwania powietrza ustami.

Podczas pogody deszczowej wynosić zawsze rośliny na dwór, wtedy woda deszczowa obmyje rośliny z kurzu, a zatem szparki oddechowe zatkane kurzem otworzą się i roślina zacznie oddychać całą swoją powierzchnią, a co zatem idzie i intensywniej żyć. Roślin w żadnym wypadku podczas silnej wegetacji nie można zasuszać, gdyż wtedy zagładzamy je, rośliny bowiem czerpią pokarm tylko w formie płynnej i tego płynu muszą mieć w odpowiedniej ilości.

W warunkach pokojowej hodowli używa się ziemi kompostowej, przesianej z dodatkiem gruboziarnistego, dobrze przemytego piasku.

Przy stosowaniu ziemi takiej, czy innej musimy się kierować również ogólnemi zasadami, i tak: dla wszelkich tłustoszy i kaktusów może być ziemia silnie piaszczysta, dla roślin szybkorosnących i kwitnących, ziemia musi być zasobna darniowo-kompostowa z dodatkiem piasku.

Dla roślin powoli rosnących (ficusy, palmy, oleandry i inne) ziemia musi być b. pożywna, darniowa z dodatkiem sproszkowanego krowieńca.

Dla roślin należących do grupy wrzosowatych jak azalje, rododendrony i inne ziemia musi być wrzosowa, gdyż tylko w tej ziemi rośliny te mogą normalnie żyć. Dla roślin z rodziny wrzosowatych dodatek wapna w ziemi w jakiejkolwiek formie jest zabójczy i dlatego wystrzegać się podlewania tych roślin chociażby wodą wapienną.

Dodatek torfu słodkiego, drobnomielonego do każdej ziemi bardzo dodatnio wpływa na ukorzenienie się roślin.

Irena Michalska.

WYRÓB WIN W DOMU
WADY I CHOROBY WINA

Artykulik ten obejmować będzie opisy chorób i wad najczęściej spotykanych w winach, wyrabianych sposobem domowym.

1) Za mała ilość alkoholu.

Objawia się to wówczas, gdy w winie jest zamało cukru, wówczas należy wino zaszczepić dobrze rozmnożonemi drożdżami wraz z pożywką. Jeżeli po zbadaniu, zauważymy, że wino ma dostateczną ilość cukru, wówczas wystarczy tylko dodatek drożdży rozmnożonych.

Zamiast tego można dodać czystego spirytusu. Albo można wino wystawić na działanie mrozu. Wino marznie w temperaturze 4 — 7° Cl Lód, wytworzony w winie, należy usunąć, roztopić, ale już nie wlewać do tego wina, tylko można stąd wytworzoną wodę używać do rozcieńczania innych soków owocowych.

2) Goryczka wina.

Powstaje zwykle od goryczy zawartej w pestkach, a nawet i miąższu niektórych owoców. Zadługie trzymanie wina ponad osadem również bywa powodem tej wady.

Leczenie. 5 — 40 gram. eponitu sypie się na 10 l. wina. Mieszamy 3 razy dziennie to wino, poczem po 5 dniach ściągamy je sponad osadu.

3) Nadmiar kwasu w winie.

Wino mało kwaśne miesza się z winem mocno-kwaśnem, lub dodać drożdży, cukru, pożywki i przefermentować. Win lekkich dosładzać nie możemy, gdyż ponownie zafermentowałyby i okres ich dojrzewania opóźniłby się o szereg miesięcy.

Zamiast cukru, dobrze jest użyć chemicznie czystej gliceryny, około 100 gramów na 10 l. wina, która przez swą słodycz łagodzi kwasowatość wina, a fermentacji nie podlega.

Wino pozostawione przez czas dłuższy na drożdżowym osadzie, odkwasza się samoczynnie nieraz o 40% pierwotnej kwasowości. Czynność tę wykonują bakterje, bytujące na powierzchni owoców, a które potem po zgnieceniu owoców wchodzą w skład moszczu. W miarę ubywania cukru w winie, odkwaszająca działalność tych bakteryj stale wzrasta.

Odkwaszać można również przy pomocy węglanu wapnia, który dostać można w aptece. Na 1 l. dodaje się najwyżej 15 — 17 gramów, inaczej wino nabrałoby posmaku słonawego. Przeznaczoną ilość węglanu wapnia, rozrabia się winem na papkę i stopniowo dodaje się do wina, ciągle mieszając.

Przy tej czynności ulatnia się z wina znaczna ilość gazu, dlatego uprzednio należy pewną ilość wina odlać, a po skończonem zadawaniu wina węglanem wapnia, i dokładnem jego wymieszaniu, odlaną ilość wina dolewa się do gąsiora spowrotem. Gąsior szczelnie zamykamy i po kilku dniach stania wino może być użyte spowrotem.

Nowsza metoda odkwaszania wina polega na dodawaniu węglanu wapnia w większych ilościach, np. 50 — 100 gramów wina. Wino tak potraktowane należy ogrzać do temperatury 75° C. W tej temperaturze następuje połączenie się kwasu cytrynowego (zawartego w winie) z węglanem wapnia. Produktem tego jest biała sól, nierozpuszczalna w winie, która bardzo łatwo od wina oddzielić. Metodę tę bardzo dobrze stosować przy wyrobie win z porzeczek czerwonych, borówek, żórawin, agrestu i innych owoców kwaśnych mocno z natury.

4) Za małą ilość kwasów w winie uzupełnia się dodatkiem odpowiednich ilości kwasu winowego lub cytrynowego.

(5 — 25 gramów na 10 l. wina). Cytrynowy kwas jest o wiele zdrowszy od winowego i silniejszy, przeto używa się go o $^{1}/_{3}$ mniej od winowego, jest zatem ekonomiczniejszy w użyciu.

5) *Skwaśnienie* wina jest bardzo groźną chorobą, bo trudną do usunięcia. Zabezpieczyć się przed nią łatwo, fermentując moszcz pół rurką fermentacyjną czyli przy zamkniętym dopływie powietrza do wina. Wina, zawierające powyżej 10% alkoholu, skwaśnieniu nie podlegają. Leczenie. Wino należy ogrzać do 80° C. wówczas przy tej temperaturze bakterje kwasu octowego zostają zabite. Wino wyjałowione miesza się z winem zdrowem i musi być w krótkim czasie spożyte.

Wino skwaśniałe można też siarkować, wówczas utraci ono przykry smak. Bierze się wówczas 2 gramy Sulfurolu (preparatu siarkowego) na 10 litrów wina. Kiedy wino skwaśniało nadmiernie, wówczas stosowanie tych zabiegów może wcale nie pomóc. Przerabia się go wtedy na ocet.

6) Zarażenie drożdżami kożuchującemi.

Na powierzchni wina tworzą się białe punkty podobne do pleśni, które w miarę rozwoju łączą się ze sobą i tworzą jednolity kożuch, dochodzący do grubości 1 cm. Leczenie możliwie w pierwszem stadjum choroby. Zabić go można przez dodatek spirytusu czystego w takiej ilości, by wino ogółem zawierało 12% alkoholu. Można dodać również kwasu salicylowego 1 gram na 10 litrów. Temperatura 80° C również zabija ten zarazek. Siarkowanie wina w tym wypadku też jest skuteczne. 2—3 gramów Sulfurolu na 10 l. wina.

Śluzowatość wina. Powodują ją pewnego rodzaju bakterje, które nie mogą się rozwijać przy dostępie powietrza.

Chorobie tej podlegają wina białe, zawierające małe ilości garbnika, z których bakterje te cukier przerabiają na substancję śluzowatą. Leczyć należy w ten sposób: Na 10 l. wina dodaje się około 1 kg cukru, 3 gramów pożywki, poczem całą zawartość ogrzewa się do 80° C i po studzeniu dodaje się dobrze rozmnożonych drożdży. Można również usunąć śluzowatość wina przez silne jego wietrzenie. Wówczas wino przelewa się długo przez sito, tak, by jaknajwiększą powierzchnią zetknęło się z powietrzem. Następnie dodać należy 2 gramy Sulfurolu na 10 l. wina.

Wina ześlużowaciałe b. silnie leczy się ziemią hiszpańską 20 — 50 gramów na 10 l. wina.

Posmak myszki otrzymuje wino wyrabiane w warunkach niehigjenicznych. Dodać wówczas należy 6 — 15 gramów węgla drzewnego w stosunku do 10 l. wina. W ciągu 5 — 6 dni wino dokładnie kilkakrotnie mieszać. Następnie przefiltrować przez bibułę i dodać 2 gramy Sulfurolu w stosunku 10 l. wina.

Zapach zgniłych jaj powstaje wówczas, gdy przy wyrobie wina używa się cukru w kostkach zamiast grysikowego lub jeżeli do wyrobu użyliśmy owoców z piwnic siarkowanych. Kilkakrotne przelewanie powolne wina z naczynia do naczynia przy dostępie powietrza nieraz wystarcza, by zapach ten ustąpił.

Jeżeli to nie pomaga, dodać 2 gramy Sulfurolu na 10 l. wana. Po kilku tygodniach ściągnąć wino sponad wytworzonego osadu.

Czernienie wina powoduje następujące: jeżeli wino było przygotowane z nadgniłych owoców. Wówczas należy je wyklarować przez dodatek żelatyny, a kolor ciemny ustąpi.

W innym wypadku wino czernieje, gdy stykało się z żelazem, t. zn. jeżeli podczas wyrobu wina użyliśmy w którem-kolwiek stadjum przerobu naczynia metalowego. Wówczas dodatek kwasu cytrynowego usuwa kolor ciemny.

Ocet winny przygotowuje się z win skwaszonych, które pozostawia się w naczyniach otwartych.

Również ocet można przygotować z wytłoczyn przy wyrobie wina .

Na 1 litr wytłoczyn daje się ½ l. wody. Na 10 l. takiej mieszaniny dodaje się 80 dkg cukru, 3 gramy pożywki oraz 1—½ grama „Klarolu" i dowolnego gatunku drożdży.

Gąsior wypełnia się do ¾ objętości, zatyka się czopkiem z waty, stawia w cieplem miejscu i po 7 dniach fermentacji watę się zdejmuje, gąsiorem często się wstrząsa, by dopuścić doń jaknajwiększą ilość powietrza.

Ocet tak przygotowany należy zagotować, przefiltrować i przechowywać w butelkach z jasnego szkła szczelnie zamkniętych.

W przeciwnym razie rozłożyłby się i stracił swoją siłę.

Irena Michalska.

KARNAWAŁOWE KŁOPOTY

Zbliżające się święta, Sylwester i Nowy Rok oraz rozpoczynający się karnawał są okresem wzmożonego zazwyczaj życia towarzyskiego. Czytelniczki nasze zapytywały już o to, jakie omyśleć przyjęcia, pospieszamy im więc z pomocą. Odrazu trzeba zaznaczyć, że każdy dom ma co do tego pewne tradycje, zwyczaje i uprzedzenia, z któremi nie można walczyć. Są domy, gdzie lubią dużo i tłusto zjeść, dobrze się napić i to stanowi jądro zabawy są inni, u których przyjęcie gości ogranicza się do pewnej zewnętrznej wystawy i bardzo szczupłych dań. Jedni dają gorące indyki, pasztety i kremy, drudzy trochę tartinek na tacy, trochę drobnych ciasteczek i na tem koniec. A i jedni i drudzy „wyprawiają Sylwestra", względnie „proszę na bridge'a". Ze względu na to, że nie można nikomu przeszkadzać przyjmować w sposób, jaki mu najlepiej odpowiada, zajmiemy się wszelkiemi typami przyjęć.

Kolacja na wieczór tańcujący, Sylwestra, jeżeli ją chcemy podać gorącą i wystawną, wystarczy w każdym razie z dwóch dań, przekąsek i deseru, skromniejsza z jednego dania. Zimna może obejmować zarówno takie potrawy jak indyki i ryby w majonezie, jak ograniczyć się do tartinek i sałat. Na zakończenie podamy jadłospisy szczegółowe. Ponieważ wieczór Sylwestrowy polega na tem, aby o 12-ej wypić na powitanie Nowego Roku, zdarza się często, że przyjęcie zaczyna się późną kolacją, wczasie której owo powitanie następuje. Zdarza się również, że przyjęcie zaczyna się wcześnie herbatą z ciastami, potem następuje w przerwie tańców, lub gry w karty podanie przekąsek, a na koniec kolacja i Nowy Rok. Co do tego są najrozmaitsze obyczaje.

Tam gdzie nie ma pewnej, niezawodnej kucharki, gospodyni zrobi lepiej, jeśli da kolację zimną. Nie będzie się sama denerwowała, zachowa spokój i może się zająć gośćmi, a wreszcie nie narazi na niemiłą niespodziankę, „że się coś zepsuło" i że się cały dom zadymi.

Podam Paniom niżej kilka jadłospisów zasadniczych; z których sobie Panie coś z pewnością wybiorą.

I

Przekąski, rybki, tartinki.
Sandacz pod beszamelem.
Kompoty — sałaty.
Krem, lub lody.
Owoce, czarna kawa, herbata.

II

Omlet po francusku z zielonym groszkiem.
Polędwica z garniturem, albo szynka na gorąco.
Sałata majonezowa.
Chrzan, purée z kartofli.
Krem, lub galareta.

III

Barszcz w filiżankach z paszteccikami.
Majonez z ryby, albo szczupak faszerowany w galarecie.
Sałata jarzynowa z sosem musztardowym.
Kompot. Galaretka.

IV

Galareta z ryby.
Sałata majonezowa.
Zimny pasztet.
Parówki w sosie pomidorowym.
Galaretka. Torcik.

V

Zając na zimno z sałatą.
Ozór i pasztet pod galaretą.
Flaki.

VI

Pieczeń cielęca, albo rostbeaf z garniturem i sałatami.
Bigos.
Krem. Ciasteczka.

VII

Majonez z ryby.
Indyk nadziewany pasztetem.
Sałaty, kompoty.
Zimne wędzone ryby, szynka i ozór, grzybki, konserwy, konfitury, sery; owołatą majonezową, jaja w sosie musztardowym, wędzone ryby, rolmopsy,
Ciasta, kompoty, sery, owoce; tort.

VIII

Szczupak faszerowany w galarecie. Zimne mięsa i wędliny jak w poprzedniej kolacji, urozmaicenie barszcz czerwony w filiżankach z paszteccikami z kapustą.

Kolacja przekąskowa.

Ustawić na stole dwa duże półmiski z tartinkami, talerze z sałatą kartoflaną, jajkami na twardo w sosie, grzybkami, ogórkami, paluszkami słonemi, obwarzaneczkami, plackiem, tortem, cukierkami i owocami.

Każde z tych przyjęć nadaje się na ceremonjalniejsze przyjęcia. Przytem jeśli zabawa zakrojona jest na długo, zwłaszcza z udziałem młodzieży, trzeba pamiętać, aby się dobrze najedli.

Podałam Paniom kilka jadłospisów, nie chcąc nie narzucać, bo każda okolica ma swoje zwyczaje, każdy dom ma inne warunki materjalne, inną służbę i t. p., teraz jednak, kiedy podałam kilka wzorów do wolnego wyboru, mogę coś od siebie zaproponować.

Gdybym prosiła na Sylwestra osoby ceremonjalniejsze, dałabym kolację mieszaną. Dania przyjęciowe są jeszcze bardziej szablonowe niż codzienne, zerwać z tym szablonem trudno, można go tylko pewnemi drobiazgami urozmaicić.

Oto mój projekt na kolację nieco wystawniejszą.

Na długim stole, po obu stronach płaskiej żardinierki, niskiego koszyka z kwiatami, lub wreszcie salaterki z owocami, ustawić dwa długie półmiski. Na jednym majonez z ryby na drugim pasztet pokrajany w ładne, niegrube plastry, ubrany po bokach sałatą kartoflaną. O majonezie i sałatce pisałam niedawno, rybę gotuje się w wodzie z włoszczyzną 20 minut, ładnie obiera z ości i skóry, układa na półmisku i oblewa gęstym majonezem, który z wierzchu można ubrać paskami galaretki, grzybkami, groszkiem zielonym. Prócz niewielkiej ilości sałaty, którą damy przy pasztecie, można dać jeszcze resztę tej samej na salaterce oraz przygotować dwie lub trzy inne oryginalniejsze na różne smaki. W jednej damy np. sałatę z kwaszoną kapustą, którą dziś podaję, w drugiej bardzo dziś modną sałatę z ryżu, która stanowi urozmaicenie szablonu. W czwartej sałatę z białej cykorji whibloof podaną w 32 numerze. Stanowi to jednocześnie pewne przybranie stołu. Pod salaterki jeśli obrus gładki ładnie wygląda dać ładne serwetki. Między salaterkami w małych miseczkach damy borówki, rydze, grzyby, korniszony, cytrynę poprzekrawaną na pół do wciskania w sałaty, solniczki i pieprzniczki. Ocet i oliwę lepiej postawić na stole podręcznym, tam również postawimy pieczywo, masło, napoje, sery i dopiero, gdy się jeść zacznie w miarę potrzeby weźmie do stołu. Prócz majonezu i pasztetu damy małe półmiseczki, lub duże talerze z ułożonemi wiórcem talarkami ozora wędzonego, ogórka kwaszonego, jajek na twardo i posypanych siekanemi korniszonami, albo szynki i cielęciny ułożonej w gwiazdę i t. p.

Na długich półmiseczkach damy śledzie posypane kaparami i wędzoną sigę lub łososia.

Kiedy ryba i pasztet zostaną zjedzone, usuniemy wszystkie potrawy, a na stół wejdą domowe faworki i torcik podany w dzisiejszym numerze ubieramy winogronami.

Piwo damy w każdym razie, wino zależnie od chęci. O ile chcemy niem tylko powitać Nowy Rok, damy go trochę przed samą północą.

Do zimnej kolacji nie podaje się przekąsek osobno.

A teraz drugi projekt, bardzo smaczny, ale już mniej mający pretensji.

Na stole postawimy z jednej strony ozór i pasztet w galarecie, z drugiej zająca duszonego w śmietanie, ładnie ułożone lepsze części przybrane sałatą. Zamiast zająca może być rostbeaf na zimno posypany siekaną galaretą, albo cielęca pieczeń ładnie przekładana szynką. Dwie sałaty, jednak kartoflana, druga z kwaszoną kapustą, jakiej przepis dziś daję, lub sałata z ryżu. Dalej jajka na twardo w połówkach w musztardowym sosie śledziki, faworki i pączki. Byle stół przyjemnie nakryć, dać jadło smaczne i obfite będzie to bardzo dobra choć skromna kolacja. Można po niej tańczyć do rana.

Przy tańcach podamy lemonjadę, a prócz niej jeżeli chcemy podać coś lepszego niż piwo, damy kruszon.

Kruszon jest napojem eleganckim, a nie wymaga zagranicznego wina.

Sądzę, że ten opis, poparty kilku przepisami wystarczy.

R. S.

Już czas wpłacić prenumeratę za styczeń

PRZEPISY KULINARNE

Galareta na przyjęcia bridge'owe.

Dwie całe piersi z kur ugotować z włoszczyzną na rosół, który możemy zużytkować do obiadu. Piersi zdjąć ostrożnie, każdą stronę przeciąć wszerz na pół, czyli, że z dwóch kur otrzymamy ośm ładnych kawałków.

W głębokim półmisku okrągłym wsypujemy pośrodku zielony groszek z puszki odcedzony i posolony, naokoło układamy wiankiem kurę, dalej za kurą wianek z żółtek ugotowanych na twardo, posypujemy wszystko drobno posiekanemi korniszonami i zalewamy galaretą.

Dwie szklanki wody zagotować z 10 ziarnami angielskiego ziela, listkiem bobkowym i pieprzem. Kiedy nabierze zapachu, wlać 10—12 listków żelatyny namoczonych w szklance wody, kiedy się rozpuści, przy ciągłem mieszaniu w celu uniknięcia przypalenia, odstawić, osolić, wcisnąć sok z cytryny, lekko ocukrzyć dla złagodzenia smaku, ale tylko tyle, żeby nie odczuć słodyczy. Zalewać przestudzonym płynem potrosze, jeżeli bowiem wylejemy cały płyn odrazu, groch i korniszony spłyną. Kiedy zacznie krzepnąć, posypać z wierzchu dla ozdoby niewielką ilością groszku, siekanemi korniszonami lub zieloną pietruszką. Kto woli, może zabarwić galaretę karmelem na kolor jasnej herbaty.

Sałaty z ryżu.

Sałaty z ryżu są w zasadzie podobne od sałat kartoflanych, są to bowiem właściwie sałaty jarzynowe, nigdy jednak nie należy kartofli i ryżu, razem łączyć.

Ryż do sałaty przygotowujemy jak następuje:

Ćwierć kilo ładnego, grubego ryżu, przebrać, umyć i gotować ostro przez 20 minut w dwóch litrach wody z łyżeczką czubatą soli. Odcedzić szybko, przelać zimną wodą i starannie osączyć, aby był suchawy na wygrzanej serwecie.

I) Ryż, jajka na twardo siekane, cebula siekana, sól, pieprz, śmietana świeża.

II) Ryż jak wyżej, ozór wędzony pokrajany w drobną kosteczkę, groszek zielony z puszki, jabłko w kostkę, śmietana.

III) Ryż, groszek zielony, marchewka w kostkę, ugotowana, majonez.

Sos musztardowy zimny.

Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozebrać kilku łyżkami gorącej wody, żeby masa była gęsta, przełożyć do miseczki do tarcia maku albo majonezu. Wbić dwa żółtka bez zarodków, utrzeć, dodać potrosze 3 — 4 łyżki oliwy, ciągle ucierając, posolić, lekko pocukrzyć, jeśli bardzo gęsty, dodać lekkiego octu rozebranego do połowy wodą, żeby sos miał konsystencję śmietany, włożyć kilka łyżek musztardy, łyżkę kaparów bez soku, wymieszać, zalać sałatkę z mięsem.

Kruszon czyli bowla.

Kruszon należy przygotować na kilka godzin przed użyciem, zwłaszcza zimą, gdy brak świeżych aromatycznych owoców. Cukier brać czysty, rafinowany, aby płyn nie był mętny. Kruszon podaje się w szklanych dzbankach. Jeżeli takiego nie mamy, przygotujemy go w wazie, skąd nalewać będziemy łyżką do szklaneczek od piwa, na uboczu.

Kruszon ananasowy.

Pięć ładnych, pachnących pomarańczy pokrajać ze skórką w cienkie plastry, wyjąć starannie pestki, przesypać ¼ kilograma cukru i odstawić na 4—5 godzin. Włożyć 2—3 łyżki ładnych konfitur truskawkowych, lub poziomkowych, wlać butelkę wina, dać postać, żeby się konfitura rozpuściła, dolać dalsze dwie butelki (wino może być dobre jasne, domowe) i dodać dla lepszego smaku szklankę białego kirschu, maraskino, lub abrikotiny. Na wydaniu wsypać litr czystego, drobno rąbanego lodu.

Kruszonik.

Otrzeć skórkę z dwóch pomarańczy, pokrajać w talarki dwa kilo pachnących jabłek, zalać na noc butelką wina. Nazajutrz przecedzić. Dwie, trzy pomarańcze obrane i oczyszczone z pestek pokrajać w cieniutkie plasterki, każdy plaster podzielić na ćwierci, zasypać szklanką cukru, wlać wino scedzone z jabłek i skórek, dolać jeszcze dwie butelki, dwie szklanki wody, pólszklanki koniaku i trzymać na chłodzie.

Kruszon anasowy.

Wziąć ananasa z puszki i drobno pokrajać jak łazanki. Przesypać cukrem, wlać sos z puszki, włożyć kawałek wanilji, zalać butelką wina i zostawić na 24 godziny w spokoju. Nazajutrz dodać jeszcze 3 butelki wina, szklankę maraskino i lodu.

Kruszony bywają rozmaite, używa się do nich wina droższe i tańsze i likiery i szampana. Podałam sposoby przygotowania napoju względnie niedrogiego. Należy pamiętać, że wino musi być smaczne. Jeżeli nie mamy lodu, który się nadaje do użytku wewnętrznego, można kruszon postawić w zimnie, a do dzbanka wlać na każdą butelkę wina dobre pół szklanki wody. Owoce powinny pływać w szklance. Nie dawać konfitury, która się rozbije i zabrudzi napój.

Placek z winogronami.

15 dkg mąki, dwie łyżki cukru miałkiego, 10 dkg świeżego masła, zagnieść prędko i wyłożyć niem dno tortownicy, posmarowanej masłem, zostawiając kawałek ciasta na zrobienie rantu. Mówię wyłożyć, ponieważ rozwałkować to ciasto bardzo trudno. Obtoczyć dokoła rantem z pozostałego ciasta i upiec na bladozłoty kolor. Nie może być mocno zrumieniony. Nakłuć ostrożnie cieniutkiem drewienkiem: jeśli wyjdzie suche, ciasto gotowe.

Posmarować placek jakąkolwiek smaczną marmoladą owocową, na wierzch marmelady nalewać cieniutkiemi warstewkami już krzepnącą galaretkę cytrynową czy malinową, przygotowaną ze szklanki wody, doprawionej do smaku sokiem z czterech listków żelatyny, które kładziemy na zimno, a zagrzewamy, gdy namokną. W tę krzepnącą galaretę układamy gęsto obok siebie jagody winogron zielonych o cienkiej skórce. Z ciemnych możemy dać deseń, literę i t. p. Posypać niewielką ilością tartych migdałów. Wystarczy łyżka stołowa.

Niedrogi a ładny deser.

PASZTET Z ZAJĄCA.

Żeby pasztet z zająca miał ładny kolor i wyborny smak, należy wszystkie wchodzące w skład jego mięsiwa dobrze zarumienić. Dziesięć deka słoniny zrumienić na brytfannie w piecu, włożyć pół kilo przerośniętej tłuszczem wieprzowiny, pół kilo cielęciny bez kości, przodek zajęczy podzielony na nieduże kawały, leb i polewając podpiec na rumiany kolor. Kiedy się zrumienią, przełożyć do rondla, a w tłuszczu pozostałym na brytfannie obsmażyć pół kilo wątróbki wieprzowej i wątróbkę z zająca. Kiedy się wątróbki zarumienią, zaraz wyjąć, żeby nie stwardniały, tłuszcz z brytfanny wlać na mięso do rondla, podlać wody, aby się dusiło w sosie, dodać dwa suszone grzyby, liść bobkowy, 10 ziarn pieprzu, tyleż angielskiego ziela i gotować do miękkości. Kiedy mięso będzie tak miękkie, że się da rozcierać w palcach, włożyć jeszcze odłożone wątróbki, pogotować 10 minut, wyjąć z sosu mięsa i przepuścić 2—3 razy przez maszynkę do siekania starannie obrane z kości. Jeśli sosu jest dużo, wygotować, aby nie pozostało więcej nad 3 szklanki, sos przecedzić, rozmoczyć w nim dwie kajzerki czerstwe obrane ze skórki, przepuścić przez maszynkę, zmieszać z mięsem, wbić 3 jaja, 4 żółtka, wlać sos, wymieszać starannie, wypróbować, odpowiednio posolić, trochę popieprzyć, ostudzić. Jeśli masa jest gładka, nie dzieli się na grudki i nie jest rzadka, wystarczy ją zapiec w piecu pół godziny, w rondelku wysmarowanym masłem i wysypanym tartą bułką lub w rondlu wyłożonym plasterkami słoniny. Nie przypiec, bo będzie suchy.

Jeżeli masa dzieli się na grudki, jest za chuda, widocznie wieprzowina nie była dość tłusta, wówczas włożyć jeszcze 10 deka ugotowanej i przesiekanej słoniny.

Tak przygotowany pasztet jest ciemny w środku i doskonały. Gospodynie mniej doświadczone mogą sprawdzić zgóry czy pasztet nie będzie zarzadki lub za suchy, jeśli masę przed wstawieniem do pieca zbadają. Winna ona być prawie taka, jaki chcemy mieć pasztet, wystarczy ją tylko krótko zapiec. Wszelkie długie wypiekanie, czy gotowanie w wodnej kąpieli jest tylko stratą czasu i ognia.

WIELKIE UDOGODNIENIE
DLA NASZYCH SZANOWNYCH PRENUMERATOREK

Spieszymy zawiadomić Szanowne Panie, że Ministerstwo Poczt i Telegrafów udzieliło nam zezwolenia na drukowanie na łamach naszego czasopisma pocztowych przekazów rozrachunkowych, zapomocą których będą mogły Szanowne Panie przesyłać prenumeratę na nasz tygodnik.

Blankiet przekazu zamieszczamy niżej. Należy go wyciąć wzdłuż otaczającej go przerywanej linji i wypełnić, wpisując

czytelnie i dokładnie

swoje imię, nazwisko i adres oraz wysokość przekazywanej sumy. Przesyłka pieniędzy zapomocą tego i tak wypełnionego blankietu nie pociąga za sobą

żadnych dodatkowych opłat.

Prosimy Szanowne Panie Prenumeratorki, aby szeroko korzystały z tak ważnego dla Nich udogodnienia.

Zapomocą tych blankietów można już obecnie przekazywać należność za najbliższy okres prenumeraty, to jest za styczeń, kwartał I-szy lub cały rok 1936

Przy tej sposobności przypominamy Szanownym Paniom, że

na okres do dnia 31 grudnia b. r.

wprowadziliśmy obniżkę rocznej prenumeraty ze złotych 12-stu

na złotych 10 gr. 50

Kto zatem wpłaci do końca b.r. całoroczną prenumeratę na rok 1936, zaoszczędzi sobie 1 zł. 50 gr., a ponadto otrzyma w początkach stycznia r. p. w upominku

D A R M O

za zwrotem jedynie kosztów przesyłki w wysokości 50 gr.

„KALENDARZ PRAKTYCZNEJ PANI NA LATA 1936–1937"

zawierający około 300 stron druku i obejmujący swą treścią te wszystkie dziedziny, w których, zwłaszcza w obecnych ciężkich czasach, każda Pani musi być dobrze zorjentowana.

Brzegami obciąć

1	2	3
Na zł. .... gr.	**PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY** Na zł. .... gr.	**DOWÓD NADESŁANIA** PRZEKAZU ROZRACHUNKOWEGO Na zł. .... gr. ....
Imię, nazwisko i adres wpłacającego:	złote słowami: .... gr. .... Odbiorca: „PRAKTYCZNA PANI" TYGODNIK Poczta: WARSZAWA 1, ul. SOLEC 87	Odbiorca: „PRAKTYCZNA PANI" TYGODNIK WARSZAWA 1, ul. SOLEC 87
Nr. rozrachunku 636	Nr. rozrachunku 636	Nr. rozrachunku 636
Dzień wpłaty	Dzień wpłaty Nr. wpłaty .... (podpis przyjmującego) Stempel okręgu	Nr. wpłaty .... (podpis przyjmującego)

Tygodnik „PRAKTYCZNA PANI“

który w okresie swego kilkumiesięcznego istnienia

zdobył sobie tak wielkie uznanie w szerokich kołach Czytelniczek,

w nadchodzącym 1936-ym roku ukazywać się będzie

w jeszcze lepszym układzie

i obejmować będzie przy dotychczasowej niskiej cenie — zaledwie **1 złoty** miesięcznie —

jeszcze bogatszą treść!

Wydawnictwo „Praktycznej Pani“ zrealizuje te swoje plany tem łatwiej, im akuratniej otrzymywać będzie należność za prenumeratę, ponieważ

punktualne opłacanie prenumeraty

jest nietylko warunkiem

regularnego dostarczania pisma

lecz także umożliwia

podniesienie jego wartości.

(podpis sprawdzającego) .... Dzień nadesłania Nr. listy rozrachunk. 3	UWAGA: Wszelka korespondencja, zamieszczona na 1-szym odcinku, poza wskazówkami wedle treści nadruków podlega opłacie przez naklejenie znaczka pocztowego w wysokości opłaty taryfowej. sprawdził .... wpisał .... Nr. listy rozrachunkowej 2	Tytuł czasopisma: .... Okres prenumeraty: .... Adres odbiorcy czasopisma: 1

„Serwus kochany Wiedniu"

to już nie tytuł ulubionego potpourri melodyj strausowskich, to nie początek wiosennej audycji radjowej, to nie walczyk na znanych motywach oparty, to istotnie szeregi niekończących się świateł wzdłuż Dunaju, to ogromne miasto rozsiadłe szeroko, rozległe, to przejazd wokół stolicy przez przedmieścia o małych domkach, to twarze pochwycone w przejeździe, schylone nad strawą przy świecy, gdzieś w jakimś długim baraku, to wkońcu zakopcona hala wielkiego smutnego dworca. Gwar, krzyk, nawoływanie, powitania, dźwięki zabawnego djalektu wiedeńskiego, krótki a zwycięski bój dwóch „träger'ów" o taksówkę i wjazd w to miasto takie odrębne, tak popularne, tak banalne i tak ogromnie urocze. Witają nas ranki pełne słońca, tchnące powietrzem dziwnie miękkiem i łagodnem po ostrościach naszego jesiennego klimatu oraz uśmiechnięta łagodność ludzi.

„Dokąd pójdziemy", pada pytanie zaraz pierwszego dnia rano i odtąd codzień przez dni następne...

Czy mnie, płochą kobietę, pociągnie przedewszystkiem zaczarowany kraj strojów Kärtnerstrasse, czy pójdziemy świeżym, nieznużonym umysłem wchłonąć cuda Natury w przebogatem muzeum, poświęconem przyrodzie i jej tajemnicom, czy pociągnie nas urokiem starego sztychu Schönbrunn zastygły w zadumie nad utraconym blaskiem monarchji, która go wzniosła. Monarchja wzniosła też piękny Wiedeń.

Kiedy się mija, idąc bogatym pasem „Ringów", wielkie budowle, zdobiące miasto, jak wspaniały blok parlamentu rozłożyście otulający ogromny posąg Minerwy, gdy mija się imponująca brama, za którą na pięknym placu widnieje „Burg" — pałac cesarski, kiedy się patrzy ku potężnej wieży gotyckiego ratusza, — widzi się w tem wszystkiem rozmach fantazję, nieskrępowanie; to wszystko, co dawało ongiś berło.

Dzisiejszy republikański Wiedeń spogląda nieskończonym szeregiem okien swego pięknego parlamentu z pewną melancholją. Sześciomiljonowe państwo dźwiga z trudem swą dwumiljonową głowę. Kraj pięknych widoków nie ma ponad nie wielewięcej bogactw.

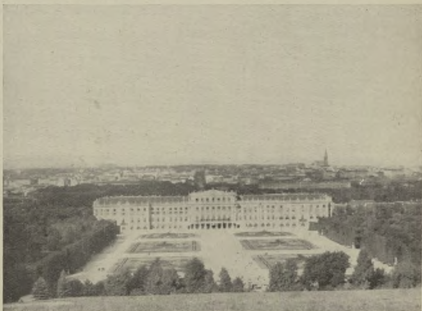
Sytuacja polityczna również nie lepsza od gospodarczej. „Jesteśmy biednemi ludźmi", mówią sami Austrjacy. To nie jest więc beztroski, rozśpiewany Wiedeń z operetek w których takt (w wyobraźni turysty) powinni przechadzać się wytworni oficerowie gwardji; to nie lekkomyślna stolica wesołych dorożkarzy, śpiewających jak w filmach dźwiękowych walce barytonem Leo Ślezaka, to nie raj panów w monoklach, oglądających się za lada „szelestem" wielu jedwabnych spódniczek... z czasów monarchji.

Na dzisiejszy Wiedeń spłynęła przed rokiem męczeńska krew dzielnego Kanclerza — bojownika niepodległości małej Austrji i rycerza katolicyzmu.

Powaga chwili naznaczyła chodniki rojnych ulic równoramiennemi krzyżami, kreślonemi kredą, — tym samym symbolem, który z plakatów na murach uniwersytetu nawołuje młodzież do pracy i starania o całość ojczyzny...

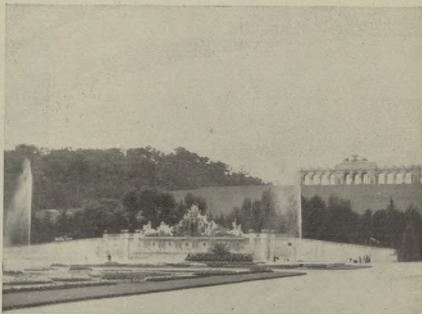
— — — — — — — — —

Dwa wspaniałe budynki muzealne stoją naprzeciw siebie i zamykają z dwóch stron piękny plac, ozdobiony pomnikiem Marji Teresy. Architektura ich ciężka i zupełnie jednakowa zzewnątrz zarówno jak wewnątrz. Jeden z nich mieści zbiory przyrodnicze, drugi rzeźby, malarstwo, ceramikę, złotnictwo, słowem wszystkie działy z zakresu sztuki. Przed zwiedzającym Naturhistorischesmuseum otwiera się świat cudowny i tajemniczy. Oto w kilkudziesięciu ogromnych salach przechodzimy kolejno od minerałów, kryształów górskich w olbrzymich kilkusetkilogramowych bryłach, od stalaktytów, stalagmitów, meteorytów, złomów soli, których kilka sprowadzonych z Wieliczki, od samorodków złota i srebra, do dziwów świata roślinnego i zwierzęcego. Pieczołowicie chronione, czyszczone i przechowywane eksponaty ukazują laikowi to, co zna jedynie z opisu egzotycznych podróży, a także i to, o czem nie zdarzyło mu się usłyszeć.



Pałac w Schönbrunn'ie.

Niesposób opisać bogactwa tych zbiorów może jedynych na świecie, wspomnę tu szczegółowiej o jednym tylko dziale, który można by zatytułować *historja ludzkości*. Mamy tu więc kilka sal poświęconych specjalnie dziejom rozwoju. Zilustrowano go zarówno barwnemi tablicami jak i eksponatami.



Fontanna Neptuna w Schönbrunn'ie.

Są tu czaszki od czasów przedhistorycznych począwszy, kości, zrekonstruowane szkielety ze starych kurhanów i przedstawione w obrazach typy ras wszyst-

kich z uwzględnieniem różnic plemiennych ludów, zamieszkujących Europę. W gablotach widzimy odzież, broń, naczynia, sprzęty domowe i rytualne; stroje kapłanów, czarowników pogańskich z Azji. Afryki i Australji.

Od zaczątków kultury jeden krok do rozwoju medycyny: a więc dawne manuskrypty, potem księgi wydawane w Lipsku i Norymberdze, ojczyźnie druku. Mieszanina, jak z kart tytułowych można wnosić, astrologji i wiedzy medycznej. Za szkłem narzędzia chirurgiczne od najstarszych w kolejności umieszczone oraz kleszcze stosowane przy porodach, od prawdziwych i straszliwych obcęgów do jaknajnowszych i najhumanitarniejszych instrumentów czasów obecnych.

Ze szczególnem uczuciem spoglądamy na tę drogę, jaką wiedza z powijaków przyszła do zdobyczy dnia dzisiejszego, oraz jakim prymitywnym środkiem leczenia i operowania oddane było życie ludzkie. Przechodzimy na zakończenie do małych dwóch salek o drzwiach opatrzonych ostrzeżeniem, że młodzieży wstęp jest wzbroniony. Tam są preparaty, ilustrujące rozwój embrjona, ułożenia jego w łonie matki, statystyka chorób zakaźnych w Austrji i t. p. Obok, dział oświetlający kwestję przyrostu naturalnego... tę tak namiętnie przedyskutowaną stronę życia dzisiejszej Europy. Widzimy więc na planie Wiednia oraz na mapie Austrji zaznaczoną sieć i zasięg pracy stacji opieki nad matką i dzieckiem, kuchni mlecznych, ośrodków zdrowia i żłobków. Trzeba przyznać, że praca ta, jak mi zresztą skądinąd wiadomo, jest bardzo wysoko postawiona i widać tę czułą opiekę państwa i społeczeństwa, ową troskę o nienarodzonego i poprawienie warunków zdrowotnych narodzonego obywatela.

Troska o nienarodzonego — zagadnienie nurtujące wszystkie kulturalne narody powojennego świata — wojna miedzy państwem i „panią, która nie chce dzieci", bo nie chce, a czasem nie może. Dzieci, których żądają Niemcy, siłą zamykające kobietę w domu, dzieci, te dzieci, o które błaga Francja swoją szczupłą podmalowaną Susette czy Ivonne; gromadka świergotliwych małych faszystów o kędzierzawych czuprynkach, wśród których pragnie widzieć prawdziwą rzymiankę il Duce! — Co o tem mówi Austrja? —

Z czterech ścian krzyczą plakaty statystyki „Jak długo jeszcze na 102178 narodzin będziemy mieli 93.590 zgonów!!! I obliczenie ilości dzieci procentowo:

na 1.132.884 małżeństw — bezdzietnych 25,1%
małżeństw z 1 dzieckiem 27,2%
małżeństw z dwojgiem dzieci 20.4%
małżeństw z trojgiem dzieci 11,5%
małżeństw z czworgiem i większą ilością dzieci 15,8%.

Statystyka bardzo charakterystyczna i ciekawa: jedna czwarta zawartych małżeństw nie chce dzieci, kto się zaś zdecydował na czworo, decyduje się i na więcej; najtrudniej widać zdobyć się na troje.

„Rodzina ostatnią pozostałością utraconego raju", pięknie przemawia plakat. „Austrja umiera", „Naród gubią bezdzietne rodziny". „Nur ein Kinderland ist Vaterand", chciałabym wiedzieć, jaki praktyczny wniosek wyciągną z tego wiedenki?

— — — — — — — — —

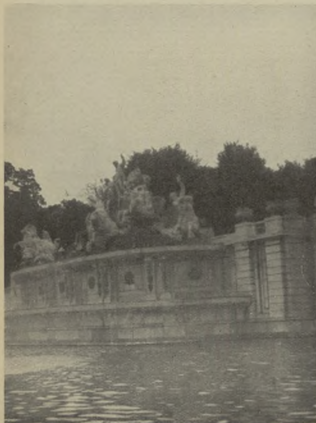
Wychodzimy na słonecznym blaskiem zalany plac. Powoli wciąga nas to miasto przemiłe, wsiąkamy w jego życie, tem łatwiej, że nie jeździmy autokarami opatrzeni we wszystkowiedzących przewodników. Zdobywamy naszą wiedzę o ludziach i mieście sami, powoli ale dokładnie z obserwacji, w rozmowach, w małych restauracyjkach, w winiarniach, chodząc w tęczy świateł na Kärtnerstrasse. Ulica ta nie szeroka i niezbyt długa, nie posiada ani jednego zbytecznego kawałka muru lub szyby, któryby nie wystawiał czegoś, nie reklamował, nie zachęcał, nie ciągnął przecudowną biżuterją, nie ukazywał ślicznej mody wiedeńskiej tak bardzo sportowej, tak skromnej, a tak wykwintnej; chodzącej na niskich obcasach zamszowych półbucików. A między wszystkiemi pokusami stroju dla wszelkiego wieku i płci, jarzą się porywające reklamy biur podróży, pięknie oświetlone głębokie okna naszego „Orbisu" ukazują czar Polski, w artystycznych fotografjach oddany a tkaniny i wazy wyrobu ludowego są doskonałą reklamą naszą w Wiedniu.

Kärtnerstrasse zamyka niewielki, ciasny plac — w upał ulicy wnika przedziwny chłód rozwartej bramy i zapach kadzideł mocny mimo oparu gazów benzynowych.

To przecież „der Dom" — katedra św. Szczepana, ogrom niewidzialny w mroku, poemat gotyku, koronek kamiennych, cudownych zuchwałych łuków, bijący w niebo igłą swej wspaniałej wieży hymnem średniowiecza, który trwa wśród odwiecznej fali zmian w szarym pyle ulicy...

W słodkiem powietrzu jesiennego ranku jedziemy do Schönbrunn. Szeroką aleją zasłaną liśćmi ogromnych kasztanów idziemy wzdłuż słynnych oranżeryj cesarskich, zawierających też przebogate palmarjum. Wielki wysypany żwirem — plac przed pałacem pusty jest o tej porze rannej, czasem ukaże się matka popychająca energicznie wózek z „pociechą", czasem zabrzmi język angielski, czasem francuski lub polski. Pod sklepieniem pod pałacem przechodzimy do parku. Przed nami ponad prześlicznemi dywanami trawników i kunsztownych klombów cała we mgle fontanny Neptuna, która kończy ten wspaniały szpaler strzyżonych grobów ukazuje się nam glorjeta lekka i przejrzysta na tle błękitu nieba i idealnej bieli chmurek. Mimowoli przymykają się oczy, obraz zostaje ten sam, niema tylko wózków z dziećmi, emerytów na ławkach w szpalerach, Anglików z aparatami u boku; szumią w alejach krynoliny, a ku glorjetce wspina się wytworny orszak dam i kawalerów. Wśród nich pod bielą austrjackiego munduru

Motyw z parku w Schönbrunn'ie.



Foki w ogrodzie zoologicznym.



bije szlachetne, słabe serce księcia Reichstadtu. Chore płuca wdychają powietrze królewskiego więzienia. Patrzą za nim okna tego pałacu, skąd zuchwały Zdobywca Świata dyktował światu warunki pokoju i te okna, przez które nieszczęsny syn Napoleona ostatni raz będzie widział światło dnia...

„Rostandowska wizja" znika. Orlątko, niedoszły Król Rzymu, spoczywa między Habsburgami u Kapucynów, a w Schönbrum niema już i Habsburgów. Jest natomiast wystawa: „Franz Josephs Ausstellung". Sale, sale, sale — buduary i antiszambry, wszystko wspomina, pokazuje długie lata panowania i opowiada o starym cesarzu.

Oto jego pokój pracy, oto jego sypialnia więcej niż skromna, oto stół jadalny, oto „menu", gdzie zbyteczne potrawy skreślone są jego ręką. Oto popiersia i portrety jego prześlicznej zbrodniczo zgładzonej żony, cesarzowej Elżbiety. Oto cesarskie mundury, niezliczona moc uniformów i wkońcu ogromna galerja cesarskich portretów, wszystkie świetne dzieła sławnych pendzli. A więc Franciszek Józef na koniu, na przeglądzie wojsk, w węgierskim mundurze. Cesarz przy pracy, to znów przyjmujący życzenia noworoczne. Wkońcu portrety wybitnych mężów owej epoki. Portrety aktorek, minjatury dekoracyj scenicznych, teatru dworskiego i wkońcu sala, gdzie wyświetla się film z życia Cesarza.

„Co to ma znaczyć" — pyta zdumiony podróżnik z dalekiego kraju: czy tęsknota za utraconą świetnością monarchji, czy tęsknota realna za nią samą, czy wstęp do restytucji? W pięknym gotyckim kościele zwanym „Votivkirche" jest pomnik ku czci żołnierzy poległych w wielką wojnę, u stóp jego spoczywa wieniec suto ozdobiony wstęgami o barwach republiki — czerwonej, białej czerwonej — na wstęgach czarny napis, który mówi, że bohaterskim obrońcom ojczyzny złożyli hołd Zyta i Otton. Nie trudno będzie znaleźć w Austrji człowieka, który więdnącemu w barwach złotej jesieni Schönbrunnowi rad będzie nadać barwy budzącej się wiosny.

Opodal parku jest bardzo bogaty zwierzyniec, który gromadzi ciekawe okazy fauny i ma być podobno drugim co do wielkości w Europie.

Jest to Zoo starego typu: zwierzęta są przeważnie w klatkach, a przestrzeń zajęta przez klatki i pawilony bez porównania mniejsza od naszego warszawskiego ogrodu, gdzie zapewniono „pensjonarjuszom" maximum swobody i możności ruchu. Okazy bardzo ładne, rozmaitość ogromna — chyba niema rodziny i gatunku, któryby nie miał swego godnego przedstawiciela w zwierzyńcu. Inna sprawa, że poza przemiłemi fokami, które beztrosko się bawią w dużym basenie zwierzęta, jak zawsze w niewoli, robią wrażenie głęboko nieszczęśliwych i znudzonych. Wizytę w Schönbrunn kończymy szklanką „trauben -most" t. j. moszczu winogronowego w jednej z licznych restauracyjek opodal rezydencji. Jest właśnie koniec września, pora na winogrona, na litrami chłonięty wszędzie trauben-most i na tegoroczne wino t. zwany „Heuriger", który pić w specjalnym nastroju będziemy gdzieindziej, na właściwem możnaby rzec miejscu. Jeśli spojrzeć na Wiedeń z tej strony poziomej a sympatycznej, to nazwalibyśmy go miastem najmilszych na świecie knajpek. Tysiące kawiarń dużych i małych na każdym kroku wyklucza najlżejszą, nawet myśl o łaknieniu wśród zapału zwiedzania i sprawunków. Wszędzie ta sama znakomita, niezawodna kawa z rogalikiem nieopisanego smaku, tak jak w każdej restauracji wykwintnej czy skromnej, w centrum, czy na krańcach ten sam niezawodny „Wienerschnitzel". Wszędzie zamiły i bardzo uczciwy stosunek do cudzoziemców.

A gdy wieczór zapada i noc się zbliża, cały zacny, solidny, mieszczański Wiedeń idzie spać co żywo!

O dziesiątej niema już „wielkomiejskich tłumów" na ulicach, natomiast samochody bardzo ostro jeżdżą po pustych „Ring'ach". Ale przybysz żądny jest jeszcze wrażeń. Po długiej podróży ze śródmieścia przez coraz to skromniejsze ulice, przybywa się na wzgórze, na koniec linji tramwaju 38. Dekoracja zmienia się natychmiast, przez bramę wchodzi się z dużego Wiednia do cichego, maleńkiego miasteczka. Domki jednopiętrowe, uśpione okna bez świateł, uliczki bezludne. Co druga, trzecia brama słabo oświetlona, a przed bramami... sznury lśniących limuzyn, samochodów prywatnych i taksówek. To Grintzing: rozkoszna dzielnica, miasteczko wina i pieśni. Z sennego zaułka wstępujemy w jedną z bram. Na wietrze kołysze się latarnia, stoliki w ogródku zestawione jeden na drugim, przez zasłonięte okna w jesienny wieczór wnika światło i stłumiony gwar. Otwieramy drzwi. Oto sala o niskim pułapie wsparta na drewnianych słupach, kominek zdobny w brodate karzełki, żelazne latarnie, w których złudzenie łojówek mają dawać świecowe żarówki. Stoły na kozłach i na ścianach scenki ze starego Wiednia. Nastrój czyli „stimmung" jest już u zenitu. Kąty wszystyte zajęte. Parki całują się bez żenady. Kilka stołów zajętych przez wesołe, rozhukane towarzystwa, które własne zapasy w papierkach, przyjechały popić tu winem. I muzyka... Orkiestra, to trzech godnych panów na estradce, dobór instrumentów: gitara, harmonja i skrzypce. Na stoliku przed wytrwałymi muzykami gąsiorki półlitrowe świeżego wina.

Dwóch innych grubych „gentlemanów" przechadza się po sali i śpiewa. Głosy ongiś doskonałe, dziś przepite. Czuwają nad całością zabawy, są oburzeni, jeśli publiczność im nie wtóruje, wołają, że jest za smutno i brak „stimmungu". Pije się więc Heuriger, całuje się, śmieje się i śpiewa... Śpiewa zapamiętale, bo taki jest szyk tu w Grintzing, gdzie żyje miły stary Wiedeń z opowiadań naszych ojców. Fertyczna panienka biega od stołu do stołu. Szlachetny starzec w białym fartuchu obojętnie zgarnia szylingi za wino, tak jak ongiś zgarniał guldeny. Oko gospodarza czuwa, by przed nikim nie stało puste szkło. Powrót zupełnie inny niż przyjazd, ostatni tramwaj odjeżdżający o północy ku miastu pełen, wszyscy śmieją się do siebie swoi i obcy bez powodu. Konduktor ma dużo ojcowskiej pobłażliwości dla „zagazowanego" pasażera. Przecież to powrót z Grintzingu...

Jutro nas czeka daleka podróż w nieznane!!

Już jutro mignie się nam w blasku rannego słońca w ramie vieille-or więdnących liści jak zblakły sztych fasada Schönbrunnu... Zbłękitnieje w mgle strzelista wieża Świętego Szczepana. Już jutro nasze oczy wchłoną inny czar, czar wiekuistego piękna Alp.

Serwus kochany Wiedniu!

Barbara Dewoyno





517 p.p. Modny żakiecik węgierski szamerowany, przybrany karakułami lub szarym barankiem, może też stanowić całość ze spódniczką jako kostjum, albo być noszony oddzielnie na ślizgawkę, narty i t. p.



515 pp. Suknia wełniana, odcięte boki skrajane z ukosu. Kołnierzyk i pasek aksamitny ciemniejszy od koloru sukni, patki przy kołnierzu i pasku, w kolorze jaśniejszym.

516 pp. Suknia z miękkiej, gładkiej wełny, reglanowe rękawy zlekka przymarszczone w miejscu zaszycia z przodem i tyłem sukni.

517 pp. Suknia aksamitna lub welwetowa, karczek i rękawy z jedwabiu deseniowego.

CENY OGŁOSZEŃ: za miejsce wysokości 1 milim. przez szerokość 1 łamu — *w tekście* — 70 gr., za *tekstem* 50 gr., *drobne* — 20 gr. za wyraz, dla poszukujących pracy — 10 gr. za wyraz. Kolumna dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu — 63 milim., wysokość 270 milim.

UWAGI: Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia.— Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane, o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia. — Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczenia całego ogłoszenia względnie jego części bez podania powodów.

Redaktorka ANTONINA DEMBIŃSKA. Wydawca: Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz", Warszawa. Druk i Klisze w Zakł. Graficznych Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.

Koguta wycina się z dykty lub grubego kartonu

żółty

żółty

A

Kolory.

szafirowy

zielony

żółty

czerwony

bronzowy

Oś do kółek może być z małego patyczka, który po nałożeniu kółka przebijamy małym gwoździ-kiem.

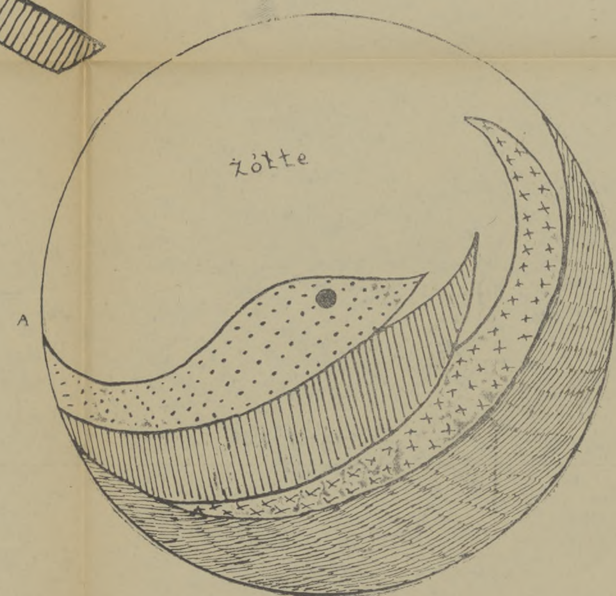
Koguta przyklejamy w odpowiednich wycięciach na podstawie i następnie malujemy podanemi kolorami



kolor zielony

Po wycięciu skrzydła można przyklejamy z obu stron tułowia, uważając by litery A wpadły na siebie

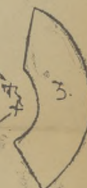




Praktyczna Pani

№ 43.






Sukniaalowa dla młodej panienki.

1. przód bluzki
2. tył "
3. pelerynka
4. przód spódniey.
5. bok przodu
6. tył spódniey
7. szarfa.

przód

środek tyłu

bok

bok

środek przodu

środek tyłu

zaszewka

bok

środek przodu

szarfa

środek tyłu

Linja załamania

Linja załamania

Linja załamania

Linja załamania

Linja załamania

środek przodu